№ 51. Warszawa, dnia 18 (6) Grudnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Na rok 1887.

Prawda pójdzie dalej w tym samym kierunku, który dla niej od początku wytknęły zasady redakcyi i sześcioletnie do świadczenie. Jak dotąd, pracować ona będzie nad wzmacnianiem duchowych i materyalnych sił swojego społeczeństwa, nad demokratyzacyą pojęć, nad apostolstwem wiedzy, nad obroną ciągłego i swobodnego rozwoju myśli i pracy ludzkiej, nad tem wszystkiem, z czego się tworzy *postęp*.

Pismo nasze nie jest młotem sekciarskiej kuźni, nie jest organem jakiejś klasy społecznej, lecz organem inteligencyi, ludzi światłych i umysłowo wyzwolonych, widzących siłę i szczęście własne i ogólne w rozwoju wszystkich czynników postępu, bez względu na to, do jakiej warstwy narodu ci ludzie należą.

W roku przyszłym, obok znacznego wzmocnienia zastępu współpracowniczego, o czem czytelnicy wkrótce się przekonają, wydawnictwo nasze rozszerzy swój zakres bez podniesienia ceny prenumeracyjnej. Oprócz dodatków kwartalnych, abonenci nasi otrzymają drugi dodatek, mianowicie:

Historyę wieku XIX.

Będą to z poważnych źródeł poczerpnięte i przedmiotowo zarysowane dzieje: polityczne, społeczne i umysłowe naszego stulecia aż po rok bieżący. Bez przesady rzec można, że wiek XIX jest ogółowi najmniej znany, gdyż na jego progu zatrzymują się i wykłady szkolne i zwyczajne podręczniki. To też ludzie, którzy bądź nie byli współczesnymi świadkami zdarzeń tego okresu, bądź nie badali ich starannie, co chwila potykają się o nieznajomość ich. Książka nasza, przedstawiwszy w treściwym i wyrazistym obrazie ostatni rozdział historyi nowożytnej, którego wypadki odbijają się ciągle echem w naszem życiu i wiążą się z jego biegiem obecnym, zaspokoi, jak mniemamy, ważną potrzebę. Zawierać ona będzie około 40 arkuszy druku, a wyjdzie w dwu częściach. Pierwszą, 25, otrzymają abonenci, którzy prenumerowali **Prawdę** *przez rok cały*, przy końcu grudnia 1887, a drugą, tj. arkuszy 15, abonenci, którzy prenumerowali pismo nasze przez półrocze 1888 r. Będzie to więc dodatek *półtoraroczny*.

Dając rocznie 78 arkuszy tygodnika, 24 arkusze dodatku kwartalnego (*Społeczeństwa zwierzęce*) i 25 nadzwyczajnego (*Historya XIX w.*), *razem 127 arkuszy* druku za rs. 8, sądzimy, że nam wolno nazwać pismo nasze *taniem*.

Dla ułatwienia nowym abonentom możności nabycia dodatków dawniejszych, cenę ich, która w handlu księgarskim pozostaje niezmienioną, zniżamy do połowy, mianowicie:

Pypin: *Kwestya polska* rs. 1 dla abonentów k. 50
J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* t. 4 rs. 6 „ „ 3 rs.
Ekonomia polityczna rs. 3 „ „ 1 k. 50
Liard: *Logika* . . rs. 1 „ „ k. 50
Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (dwa zesz.) rs. 1 „ „ k. 50

Na przesyłkę pocztową do każdego rubla dołączyć należy kop. 15.

Na początku roku przyszłego nakładem naszym wyjdzie słynne dzieło badacza amerykańskiego Morgana

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dziś, kiedy dzieło to (chociaż dotąd, o ile nam wiadomo, na żaden język z oryginału nieprzełożone), zostało wyczerpane w handlu i w nauce, wyzyskane jawnie i okradzione tajemnie, kiedy z niego jak z bogatej kopalni wydobyto i obrobiono wiele faktów nieznanych i prawd nowych, zyskało ono rozgłos szeroki i wieniec pośmiertnej sławy dla autora. Bo też może żadna książka w tej mierze nie rozjaśniła dróg pochodu ludzkości od najpierwotniejszych jej stanów aż do wyżyn cywilizacyi obecnej.

Dzieło to w prenumeracie kosztuje rs. 3 (z przesyłką rs. 3 kop. 30), po wyjściu rs. 4.

KSIĘGARNIA

nasza pośredniczy w nabywaniu książek i prenumerowaniu pism peryodycznych. Abonenci *Prawdy* więc mogą wszelkie tego rodzaju obstalunki dołączać do przysyłanej prenumeraty.

POLITYKA.

OGNIOWA PRÓBA.

W ostatnim i tylko na chwilę załatanym przełomie rządu a raczej bezrządu francuskiego odbyła się ciekawa próba gotowości i zdolności radykałów lewego krańca do objęcia steru państwa. Stronnictwo to, którego widomą głową jest Clemenceau, od pewnego czasu podminowywa i wysadza w powietrze wszystkie gabinety ministeryalne przy chętnym współudziale prawicy, z innych pobudek, ale również zainteresowanej w tych podkopach. Tu istotnie „ostateczności stykają się:" zwolennik monarchii wiąże się z rewolucyonistą, bo nienawiść równie mocno łączy ludzi, jak miłość. Ponieważ zaś o tryumfie któregokolwiek z pretendentów do korony w tej chwili marzyć trudno, więc ich poplecznicy prowadzą jedynie politykę negatywną, dążącą do rozstroju, a właściwym zwycięzcą jest wódz radykałów—Clemenceau.

Gdy ministeryum Freycineta upadło i gdy w środkowych grupach parlamentarnych zbrakło kandydatów, stanęło przed prezydentem Rzeczypospolitej pytanie: czy nie nadeszła chwila oddania władzy czerwonym? Rozpoczęto nawet z nimi układy, ale wkrótce przekonano się i to obustronnie, że realne a niezłomne warunki za ramy do oprawienia mrzonek użyć się niedadzą. Utworzeniem nowego gabinetu miał się zająć prezes Floquet. Jakaś teka dostałaby się Clemenceau, ale ten nie znalazłby ani poparcia w kraju, ani większości w Izbie, gdyż sprzymierzeńcy jego z walki przeciw „mieszczaństwu" nie byliby przyjaciółmi jego panowania. Nadto barwa czerwona, przeszedłszy z opozycyi do rządów, zwykle blednie, i ten sam Clemenceau, który dziś urąga wszystkim kalekim — według niego — ruchom liberalizmu, stanąwszy przy władzy, okroiłby znacznie swoje plany a zmniejszoną ich miarą nie zadowolniłby swoich współwyznawców. I on wkrótce stałby się dla nich „samolubnym bourgeois," otrzepywanym w dziennikach i na mównicach zgromadzeń. Jeżeli zaś człowiek ambitny, jakim niewątpliwie jest Clemenceau, ma do wyboru: albo krótkie rządy i szybki śród sykań upadek, albo królowanie w własnem stronnictwie i mocny wpływ w Izbie — woli wróbla w ręku niż szczygła na sęku. W kombinacyach też ministeryalnych przemknął się on jak cień i znikł, nie sięgając po tekę, którą mógł łatwo zdobyć. Pewna gazeta nazwała go dowcipnie i słusznie „politykiem zezującym." Istotnie, jednem okiem strzela on ku władzy, a drugiem — ku popularności, która bardziej go pociąga, bo daje prawa a nie nakłada obowiązków. Być trybunem ludu, oskarżycielem, krytykiem, głosicielem rojeń teoretycznych, które z rzeczywistością się nie zmierzyły i przez jej przeszkody lekko przeskakują,— to rola łatwiejsza, niż kierować najrozmaitszymi żywiołami, ogarniać całość narodu, działać na gruncie praktycznym i — dźwigać odpowiedzialność za swe czyny. Gdy więc ku Clemenceau nachylił się dojrzały owoc jego działań — godność ministeryalna, przywódca radykałów zaczął jeszcze mocniej zezować i ostatecznie czulej spojrzał na swą drużynę, niż na mundur jeżem podszyty.

Dlaczego cofnął się z drogi otwartej?

Odpowiedź prosta: radykaliści francuscy sami uczuli, że ich program stworzony jest jedynie dla teoryi, ale nie policzył się jeszcze z praktyką, nie uwzględnił jej wymagań, nadaje się do artykułów dziennikarskich i mów sejmikowych, a nawet sejmowych, ale nie do zastosowania w rządach. Gdyby nie przeświadczyli się o tem sami, ani Floquet, ani Clemenceau, ani nikt z ich bractwa nie cofałby skromnie rąk, gdy prezydent Rzeczypospolitej rozdawał teki ministeryalne, nadewszystko zaś, nie nakłanialiby oni wszyscy razem tak usilnie Freycineta, ażeby z dotychczasowymi towarzyszami pozostał przy sterze. To więc, co ogłoszono jako tryumf czerwońców, było właściwie ich porażką. Zamiast porwać byka za rogi, schowali się do swych kryjówek, zwinąwszy jaskrawe chusty, któremi go drażnić zwykli. Dokonali zwycięztwa, którego skutków sami się przerazili, czem dowiedli, że ani śmiałości, ani uzdolnień do objęcia rządów nie posiadają, że — jak mówi poeta — i dla nich

„trudniej jeden dzień przeżyć, niż napisać księgę."

Z GALICYI.

Lwów, 12 grudnia.

Otwarcie sejmu. — Nowy marszałek. — Jego mowa wstępna. — Kilka uwag.

Po długiej, długiej przerwie, którą zbieg okoliczności spowodował, a za którą czytelników *Prawdy* szczerze przepraszam, powracam do moich sprawozdań z tutejszego życia.

W tej chwili uwaga wszystkich skierowaną jest na sejm, który 9 grudnia rozpoczął swoje obrady pod laską nowego marszałka. Przed rokiem napisałem w tem miejscu kilka uwag o obecnem znaczeniu naszej najwyższej reprezentacyi krajowej. Rok czasu nietylko nie zdołał wpłynąć na zmianę moich zapatrywań w tej kwestyi, lecz przeciwnie ugruntował je jeszcze silniej. I całkiem naturalnie. Już samo ob-

---

KASSANDRA

(Świątynia Ateny słabo oświetlona przez dwie lampy, gorejące w wysokich świecznikach. Dokoła ścian głębokie nisze, napełnione zupełną ciemnością. Pod światłem lamp posąg Ateny. Słychać rozlegający się w oddali hałas, w którym rozróżnić można szum pożogi, huk wzburzonego morza, szczęk broni i krzyki walczących. Kassandra w białej chlamidzie, z nagiemi ramiony i rozpuszczonymi włosami, powoli leje na nizki ołtarz wino ofiarne).

Kassandra. Przez grozę, która mną wstrząsnęła, gdym klęskę tę przewidziała, zmiłuj się nad Troją! Przez mękę, która mię zdjęła, gdy moim przestrogom nikt wiary nie dawał, zmiłuj się nad Troją! Przez niewieścią wstydliwość, którą zdeptałam, złośliwym tłumom czoło stawiąc, zmiłuj się nad Troją! Przez urągania, które mi duszę pianą gryzącą oblewały, zmiłuj się nad Troją! Za to, żem w przeznaczeniach ludzkich zaczytana, własny swój los badać zapomniała, zmiłuj się nad Troją! Za to, że oblicze ojca mego, Priama, z gniewem się odwracało od córki bezpłodnej, a łono matki mej, Hekuby, chłodnem było dla dziewicy, wrzeciono z rąk upuszczającej, zmiłuj się nad Troją! Za to, że na wesołe pląsy sióstr moich zdala i smutnie patrzałam, a służbie Appolla oddana, w ramiona Koroibosa nie upadłam, zmiłuj się nad Troją! Przez płomienie pożerające mury Pergamy, przez śmierć mych braci, przez pohańbienie sióstr moich, przez bóle Koroibosa, którego przebija dzida Idomena, przez miłosierdzie, przez równowagę zła i dobra, przez sprawiedliwość — czy słyszysz mię, Atene? — przez sprawiedliwość, którą chlubicie się, wy, bogowie! Niech napastowani trojanie zwyciężą napastujących greków!

(Drzwi świątyni otwierają się i zamykają z trzaskiem. Wbiega Koroibos i zbroję, ociekającą krwią, na posadzkę świątyni rzuca).

Koroibos. Tuześ, natchniona. Wiedziałem, gdzie cię mam szukać. Dość tej męki! Przyszedłem umrzeć z tobą. Przez hufce wrogów przedarłem się do ciebie; pagórki trupów przed sobą wznosiłem, aby raz jeszcze ujrzeć moje słońce...

Kassandra (z krzykiem). Żyjesz! Widzę cię! O, dobra Atene! Lęk własnego serca, za objawienie bogów poczytałam, widziałam cię przeszytym dzidą Idomena... Nie zabił cię więc Idomenos, ani żaden z tych... Dzięki, ci, Atene! (Nagle nieruchomieje i mówi ciszej). Czy ja naprawdę o życie Koroibosa modliłam się? Czy ja naprawdę o ratunek dla niego błagałam? (Z wybuchem) Troja! Troja! Co tam, za tymi murami? Koroibosie, co tam?

Koroibos. Na widok ludzkich zbrodni morze powstaje z posłania swego i ziemię opluwa pianą obrzydzenia. Greccy zwyciężają wszędzie. Tylu ich jest! Drewniany potwór, przez nas z tryumfem do miasta wtoczony, nadziany był zbrojnymi mężami, którzy, wypełzłszy z obydnej swej kryjówki, innym bramy miasta otworzyli. Ale, dlaczego ja ci to opowiadam? Tyś wołała: klęska! gdy inni śpiewali: tryumf! Tyś powtarzała: biada! biada! gdy inni ledwie nie pękali z pychy i uciechy! Ty szatę swą dziewiczą w rozpaczy rozdzierając, błagałaś: „nic, nic, nic nie przyjmujcie od greków! niczego, niczego nie dotykajcie, cokolwiek jest greckiem!" Jakżeś ty była wtedy piękną, Kasandro! A oni marli od śmiechu. „Patrzcie, mówili, najmłodsza z córek Priama przedzierzgnęła się w sowę i głowy nam chce ogłupić swymi nocnymi krzykami! Czy grecka Sybilla uciekła ze swej jaskini i przyszła zbawiać Troję? Ale Sybilla jest brzydką babą, a ładnym dziewczętom nie przystoi bawić się wróżbiarstwem. Do gyneceum, niewiasto, do gyneceum! Podobno prząść nie umiesz, a sprawy tak wielkie chcesz na wrzeciono języka swego owijać!" Tak hałasowali oni, bezrozumni! i jam jeden, nad twymi kruczymi włosami, dojrzał dyadem Apolinowej światłości, jam jeden w tych oczach ujrzał wieszczy płomień; Kassandro, jam cię jeden na ziemi — kochał!

Kassandra (w rozmarzeniu). Słyszyć to... jakaż słodycz! (z przerażeniem). Koroibosie, co tam, za tymi murami?

Koroibos (powoli obejmując ją ramieniem). Po co pytasz? Czy z tego ramienia, rozkosz wielka, co bogów na ziemię ściągnąć zdolna, w pierś twą nie wnika?

Kassandra (cicho). Tak.

Koroibos. Czy nie czujesz, jak głowa twa, upojona i mdlejąca, szuka wsparcia na mojej piersi?

jęcie steru najwyższej władzy autonomicznej przez człowieka, który dotychczas niczem nie wzniósł się ponad miarę ludzi powszednich, choćby najszlachetniejszej woli i najgorliwszych pracowników, ale tylko podobnych najzwyczajniejszym pionkom, cudzą ręką zawsze kierowanym — nie może usposabiać różowo. A po za tem czy uległo cośkolwiek jakiej zmianie na lepsze? Spojrzyjmy! Na sali sejmowej zjawiają się kolejno Badeniowie, Potoccy, Stadniccy, Dzieduszyccy, Tarnowscy, Sapiehowie, nie brak i Abrahamowicza, Wodzickiego, Golejewskiego, Polanowskiego, obok nich kilku potulnych księży, niewielu — przeważnie lojalnych — profesorów i garsteczka warchołów. Cóż tu nowego? Po dawnemu zjechała się rodzina bliższa i dalsza na większą naradę: pozdrowi się nawzajem, odda pokłon rządowi, uchwali, komu dać koncesyę na pobór myta, jak połatać dziury w mostkach i wyboje po drogach, rozda sporo grosza krajowego pomiędzy najrozmaitszych, często gęsto zgoła niezasłużonych petentów, rzuci do kosza stos niezałatwionych spraw i po ciężkich, kilkotygodniowych trudach rozjedzie się do domów z zadowolnieniem, jakie daje każdemu poczucie należycie spełnionego obowiązku. Że tak będzie, najlepszą wskazówkę daje choćby pora, na którą zwołano sejm i czas wyznaczony mu do obrad. Oto 9 grudnia nastąpiło otwarcie, a już między 20 a 23 stycznia ma nastąpić zamknięcie sesyi, ponieważ zaraz potem zbierze się Rada państwa. W ten sposób wyznaczono sejmowi *maximum* 30 dni, bo przynajmniej 10 odpadnie na święta i na czynności przygotowawcze. Jeżeli zważymy, że przepędzenie budżetu przez obrady zajmuje przeszło tydzień, że każda większa sprawa musi przejść przez narady komisyjne, to doprawdy ani na chwilę niepodobna się łudzić, ażeby powzięto uchwały większej wagi. Wymowną zapowiedzią tego jest treść dotychczasowych sprawozdań Wydziału krajowego. Na porządek dzienny pierwszego posiedzenia sejmowego zapowiedziano ich 30. Liczba dość pokaźna, ale treść skromna. Wyjąwszy bowiem sprawozdanie z czynności wydziału za czas od 1 lipca 1885 do końca 1886 r., tudzież zamknięcie rachunków, co naturalnym biegiem rzeczy musi wejść na porządek dzienny obrad i zwrócić szerszą uwagę, są to kwestye natury czysto administracyjnej, przeważnie ściśle miejscowego znaczenia, między któremi, niby oaza wśród puszczy, widnieje wniosek o wstawienie do budżetu na r. 1887 kwoty 1,000 złr. jako nagrody za najlepsze podręczniki dla szkół średnich. Wczoraj wprowadzono drugą sprawę ogólniejszego nieco znaczenia, dotyczącą budowy nowego teatru w Krakowie. Oto i wszystko na teraz.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o samem otwarciu sejmu. Przemówienie marszałka Tarnowskiego dało nam nareszcie sposobność poznania choć w części tego nowego kierownika naszej nawy autonomicznej. Wrażenie, jakie odnosimy z tej mowy, nie jest zbyt korzystnem. Widać z niej, że jest to człowiek szlachetnie myślący, że nie zbywa mu na dobrych chęciach, że wreszcie, co niewątpliwie jest ważnem, odczuwa potrzeby kraju i rany, które należałoby goić, ale widać z niej także, że człowiek ten niema energii, potrzebnej wodzowi, ani też nie zdoła orlem okiem przejrzeć całego widnokręgu lub wytknąć programu imponującego całemu ogółowi. Przyszłość może nas przekona, że jesteśmy w błędzie, na teraz nie mając w przeszłości marszałka innych punktów oparcia, sądzimy go na podstawie jego przemówienia wstępnego. Mowa niezwykle długa odznaczała się, że tak rzekę, miękkością. Oddawszy sporo pochwał swemu poprzednikowi, hr. T. kilkakrotnie odwoływał się do względności i pobłażliwości Izby, zapewniał, że oprócz szczerej chęci służenia krajowi, nie miał innej ambicyi, gdy przyjmował laskę marszałkowską, że zresztą, gdyby się okazało, że zadanie, jakie ma spełnić, przewyższa jego zdolności i siły, starać się będzie, aby w ciągu dwuletniego okresu, który jeszcze pozostaje do końca kadencyi sejmowej, kraj nie poniósł szkody z jego winy. Zapewniał dalej, że będzie przestrzegał ścisłej bezstronności w obradach, tudzież powagi i godności sejmu, a w pełnieniu obowiązków będzie stał stale i ściśle na stanowisku autonomicznem, ażeby nietylko bronić praw już nabytych i nic z nich nie uronić ale nadto, o ile się da, dążyć do ich rozszerzenia. Ustęp ten mowy (przytoczyłem go niemal dosłownie) był najsilniejszym i jeżeli tylko w praktyce marszałek ściśle zastosuje się do tego programu, zasłuży niewątpliwie na uznanie.

Po nim jednak nastąpiły znów części słabsze, a przedewszystkiem określenie stosunku między władzą autonomiczną a rządem było ogólnikowe i osłabiało poprzednie wrażenie pewną niestanowczością a nawet, rzekłbym, niewłaściwą pokorą. Marszałek „zapewniał Wysoki rząd, a mianowicie J. E. p. Namiestnika o swych najszczerszych intencyach i najlepszych chęciach,“ przyczem dodał, „że na wzajemność pod tym względem rachuje i o nią *prosi* tem śmielej, że idzie tu o interes kraju, który obu (marszałkowi i namiestnikowi) jest drogi, którego dobra obaj zarówno pragną.“

W dalszym toku przemówienia przypomniał program swego poprzednika, jako swój własny na przyszłość i streścił go w trzech punktach zasadniczych: 1) podniesienie oświaty i uczynienia jej dostępną całemu krajowi; 2) postęp ekonomiczny, opieka rolnictwa i przemysłu, wreszcie 3) równowaga budżetowa. Przy trzecim punkcie zaznaczył także, że rozwiązanie sprawy indemnizacyjnej uważa za jedno z najważniejszych zadań kraju.

Po zaznaczeniu swego stanowiska w tych kwestyach programowych przeszedł do sprawy wzajemnych stosunków polsko-rusińskich, przyczem w dłuższym ustępie zaznaczył, że koniecznem jest dążenie do osiągnięcia i utrzymania porozumienia, harmonii i zgodnego pożycia między obiema narodowościami, a to tem bardziej, że łączy je wspólność dziejowa i obecnych interesów.

Wreszcie dłuższy ustęp poświęcony tegorocznemu pobytowi cesarza w Galicyi, tudzież zwykłym objawom lojalności wobec monarchy i jego rodziny, zakończył zagajenie marszałkowskie.

Leszek.

Kassandra (jeszcze ciszej). Tak.

Koroibos. Włosami twymi owinę sobie szyję, aby mi ust twych nie zasłaniały. O, wy, czarne, miękkie, wonne zwoje, bądźcie mi łańcuchem, którego samej śmierci zerwać nie pozwolę! A wy, usta Kassandry, piękne, natchnione usta, wszak dawno już tęsknicie do ust moich, które długo, o jak już długo was pożądają! Tak? prawda, że tak?

Kassandra (jak pierwej). Tak.

(Koroibos chce ją całować).

Kassandra (wyrywając się mu, z przerażeniem). Nie, Koroibosie... nie, nie to... nie o tem... Co tam, za tymi murami?

Koroibos. Pożoga, rzeź, zagłada. Cóż więcej? czego więcej odemnie chcesz? Nie po to tu przyszedłem, aby ostatnią godzinę twoją i swoją w piekło strącać, ale po to, aby je ziemskim zbrodniom i mękom wydrzeć...

Kassandra. Troja...

Koroibos. Zginie. Wszystko, co nasze zginie i my także. Dobrze. Nie chcę ja przeżyć ojczyzny i broniłem jej tak, jak lwica broni swoje małe. Grecy, jak prosięta, kwiczeli w rękach moich i jak kłosy—kładli się pod moim sierpem. Rany od nich miałem i zagoiłem je wolą, więcej niżeli lekami, bom pragnął coprędzej wstać i znowu walczyć, walczyć! Ale teraz, wszystko ginie; zaraz, zaraz już zginie. Złote włosy wschodzącego Feba oświecą tylko gruzy Troi i martwe ciała jej pobitych dzieci. Ja nic już nie ratuję i zbrzydło mi, o bogowie, jakże mi zbrzydło być rzeźnikiem! Niech tam kto chce, krew ludzką chłepcze do końca; ja jedną godzinę, ostatnią moją godzinę, chcę przeżyć czysty od mordu. Nienawiści, zemsty, napiłem się aż do gardła, do podniebienia, do mózgu, do szpiku kości. Przed samą śmiercią, pewną, pragnę piekielny smak ich zatracić, pijąc ze strumienia, ku któremu z tęsknotą i żądzą przybiega wszystko, co istnieje: od gwiazdy do marnej trawki, od lotnego orła, do podłego gadu. Wszystko, co na ziemi oddycha, Kasandro, pije ze strumienia miłości i jej rozkoszy. Tu panuje zniszczenie; ale świat jest wielkim. Dalej, daleko, wszędzie, na kwitnących łanach i łąkach, w miastach bogatych i ludnych, w głębiach wodnych, w gniazdach ptasich, nawet w piasku, który ukrywa pełzanie nędznego robactwa, nawet w szczelinach ruin, gdzie skomlą puszczyki, nawet w ciemnych kątach, zasnutych przędzą pająków, żyje i nowe życie z nicości wywabia — miłość. Może gromowe chmury, gdy brzękną purpurą i srebrem, kochają się... Może kochają się fale morskie, gdy oszalałe, z zapienionemi grzywami pędzą ku sobie! O słodki strumieniu! wprawdzie, gdybyś nie istniał, ojcowie greków i trojan nie spłodziliby tych synów, którzy teraz, jak stada dzikich byków, wzajemnie bodą się i depczą. Ach, gdybyś nie istniał, rozprzągłby się i zagasł chór gwiazd niebieskich, a ziemia by nie ujrzała palm i róż, orłów i motyli, bohaterskich mężów, białych niewiast i takich dziewic, jak ty, Kassandro! O słodki strumień, który świat tworzy i stworzenia swe o wszystkich nędzach świata zapomnieniem, krótkiem, lecz boskiem, obdarza! Namże tylko jednym, Kassandro, przystęp do niego byłby wzbronionym? Za co? Cóżeśmy zawinili w obliczu nieba i ziemi? Albo może ziemia tyle nam dała, że przez wdzięczność dla niej winniśmy na ołtarzu jej cierpień i — zbrodni złożyć ten ogień, co nam usta pali, i tę przędzę, która, od mojej duszy do twojej i od twojej do mojej wysnuta, tak miękko, błagalnie i razem, o, jak silnie! pociąga je ku sobie? Za coś ty wdzięczna ziemi i Troi, Kassandro? Czy za to, żeś z wnętrzności twej matki wyszła nie zupełnie taka, jak inne niewiasty i że w miarę wzrastania przymiotów twoich malała dla cię miłość twojej matki? Czy za to, że twe siostry przezwały cię dziką łanią? Czy za to, że twój ojciec zwał cię chmurą swego domu? Czy za to, że kiedy przez Apolina oświecona, uczyłaś trojan, jak z grekami walczyć i czego od nich spodziewać się mają, oni kąsali cię tysiącami żądeł? Dlaczego teraz, gdy cały ród Priama zbawia się albo ginie razem, ty zamknęłaś się w tej świątyni, samotna i odtrącona? Modliłaś się tu za Troję? Dobrze, Sam z całego siebie zrobiłbym jedną modlitwę o jej zbawienie. Ale jej nic już nie zbawi. Nie chcesz przeżyć Troi i bezbronna czekałaś tu przyjścia greków? Dobrze, oni przyjdą, bądź pewna, że przyjdą. Zginiemy razem z ojczyzną. Ale przedtem, zapomnij Kassandro! O bogach i ludziach, o krzywdach i zemstach, o tej światłości nawet, którą napełnił cię Apollo, a przez którą widziałaś więcej niż inni i cierpiałaś więcej niż inni, zapomnij! Owinę cię moją miłością tak, że nic już

Lwów, 13 grudnia.

Inny korespondent tak kreśli obraz składu sejmowego:

O podziale na stronnictwa w ścisłem tego słowa znaczeniu nie może być właściwie mowy; nasi posłowie bowiem są niemal wszyscy konserwatystami, a różnią się raczej w sposobie postępowania, niż w celach: mimo to zauważysz w klubach pewne odrębne właściwości. Panem pola jest *Klub prawicy*, stronnictwo rządowe. Dawną praktyczność i energię postradało, natomiast rozwinęło koteryjność i upór ultrakonserwatywny. Z „zasadą“ na czole, miewa ono w sercu „interes,“, a nie zrzuca nigdy liberyi służebnej. Podwawelska ta przeważnie gwardya, czyli poprostu „klika,“ zabierająca ojczyznę na rzecz arystokracyi i länderbanków, reprezentująca niestety i większość Koła polskiego w Wiedniu, stoi obecnie wzmocniona podporą swego marszałka, pod przewodnictwem hr. Alfreda Potockiego i Grocholskiego. W klubie siedzą stańczycy, jak Badeniowie (ojciec i syn), Jędrzejowicze (Stanisław, Edward i Adam), Potoccy (Antoni, Roman i Alfred), Tarnowscy (marszałek i dwaj Stanisławowie, profesor krakowski i Stasio ze Śniatynki), Wodziccy (Ludwik i dawniej Henryk), wszystko dziedziczni członkowie sejmu, całemi rodzinami zalegający „instytucyę konstytucyjną.“ Tu gromadzą się podolacy (M. Borkowski, E. Torosiewicz, Woleńcy Mikołaj i Władysław itp.) tu wreszcie zasiadają matadorzy rządu, ekscelencya namiestnik Zaleski, ministrowie Dunajewski i Ziemiałkowski, księża, arcybiskupi itp., tu przytulają się chyłkiem starostowie, których jest kilkunastu. Przybyli też pod ten sztandar prawicy nowi rekruci (Michałowski, Mieroszowski), a w szeregach innych stronnictw znajdą się zapewne tacy, którzy uczują, że waga ich „skromnych“ sił zaciąży więcej, skoro oprze się o władzę prawej ręki rządu, rozporządzającej wpływami swymi daleko po za sejmem. Przelanie to nastąpić może oczywiście tylko z najbliższego sąsiedztwa — z centrum.

Centrum—to nasi „młodzi konserwatyści,“ czyli stańczycy *minorum gentium*, mniejszego w kraju wpływu i zachowania, ale za to ruchliwsi od swych ojców i nauczycieli z prawicy. Powodem tej ruchliwości i tego hałasu, jaki po kraju roznoszą, jest chęć „zrobienia karyery.“ Niektórzy z nich, jak prof. Bobrzyński, T. Pilat, dr Stanisław Badeni, „robią już karyerę.“ Prowadzą ten klub weterani mniejszości w Kole polskiem: ks. Jan Czartoryski i hr. Wojciech Dzieduszycki, niegdyś przewódca ateńczyków, no i *last not least* Józef Męciński. Tu znaleźli też schronienie „młodzi rolnicy,“ jak Gnoińscy (Jan i Wincenty), zawsze „familia.“ *Enfant terrible* tego klubu jest poseł Dawid Abrahamowicz c. k. szlachcic ormiański. Podobno ks. Adam Sapieha, „dyktator sejmowy,“ wysłał tu na zwiady syna swego, także posła, *vivat familia!* aby od czasu do czasu zasięgnąć języka, co w klubie słychać. Sam zaś, jak dyktatorowi przystoi, jest „dziki,“ chodzi po sali wielkimi krokami i — knuje intrygi, które czasem się udają.. W ciągu roku zaszły w łonie centrum rozmaite niepokoje, jeden z koryfeuszów ma podobno wystąpić mimo zapewnienia, że sercem jest z dawnymi towarzyszami broni; inny (Chamiec) ogłosił publicznie swe wystąpienie z klubu. Nie wywiera on dość siły przyciągającej swym programem biernym, niezdecydowanym, posługującym się tylko bronią krytyki, programem, który przykuwał centrum jako „kontrolę i korekturę“ do prawicy, pozostawiając tej ostatniej inicyatywę i działanie.

Klub, zwany *grupą*, stworzony przez ks. Adama Sapiehę, o którym pocieszał korespondent *Słowa*, że to „najlepszy zaprząg“ w nowym rydwanie sejmowym, jest sobie małą gromadką obok księcia. Kolo to odbywa narady „dla poinformowania się,“ a duszą jego jest nafciarz i obywatel sanocki Gorayski. Jest jeszcze jeden dziki Chrzanowski, ale ten, nie tak straszny, jak ks. Adam.

Lewica to zawsze jeszcze Hausner i Romanowicz, Romanowicz i Hausner. Prezesem ich — *horribile dictu* — prof. E. Czerkawski, znana figura rządowa. W klubie tym jest miejsce także dla „nieprzejednanego“ Janka, dziś zgrzybiałego starca, któryby jednak mógł młodym jeszcze dawać lekcye zapału... tu siedzą także w miłosnych splotach żyd z antisemitą (Goldman i Merunowicz). Darujcie, że nie biorę na seryo tego pseudo-klubu — powtarzam, że lewicę stanowią tylko Hausner i Romanowicz.

W *Klubie ruskim* rej wodzi ks. Kaczała, dawny przyjaciel polaków i zdolni posłowie Romańczuk i Antoniewicz. Kółko metropolitańskie prowadzi politykę nieco odrębną, ale w kwestyach zasadniczych występują „borytele“ jak jeden mąż.

Wybór „komisyi-matki“ odsłonił siły i układ tych stronnictw, prawica ma w niej 5 członków, centrum 4, grupa 2, lewica 2, a dzicy jednego. Wogóle rozporządza prawica 53 głosami, centrum 31, klub lewicy 18, grupa 12, klub ruski 7 głosami, po za tem zaś stoi 27 głosów luźnych lub niepewnych. Przy wyborach komisyi budżetowej odniosła stanowcze zwycięztwo prawica, która jest obecnie panią sytuacyi. Sojusz chwilowy klubów: centrum, lewicy i grupy przeciw prawicy nie wytrzymał próby; gdy przyszło do walnej bitwy, niekarni sprzymierzeńcy skapitulowali, oddając sejm na łaskę i niełaskę stańczyków. Z obrad lewicy wypadły jak bomby trzy interpelacye w sprawie rzucania uchwał sejmowych do rządowego kosza, ale takie bomby rząd jeszcze wytrzyma... Natomiast ks. Adam wniósł sprawę podniesienia — języka niemieckiego w szkołach!

Henni.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ministeryum francuskie zostało zorganizowane przez Gobleta, który zarazem objął tekę spraw wewnętrznych; Dauphin przyjął finanse, Sarrien sprawiedliwość, Burdeau tekę oświaty, Boulanger — wojny, Aube — marynarki, Develle — rolnictwa, Lockroy — handlu, Millaud — robót publicznych, Garnet — poczt i telegrafów. Sprawy zagraniczne powierzono Flourensowi. Nowy gabinet oświadczył, że w sto-

z za niej nie zobaczysz, nawet tego greka, który nam śmierć przyniesie. Upoję cię moimi pocałunkami tak, że nic nie uczujesz, nawet bólu, który ci zada oręż grecki. Zaniosę cię do tej ciemnej niszy i w niej, my, przez bogów zdeptane robaki, wydrzemy bogom chwilę wolności, wszechpotężne ich urągającą. Pójdź do mnie, mnie okaż się wdzięczną, o, biedna moja, choć tak bogata! Bogów bowiem wybranką byłaś, lecz z pośród ludzi, Kassandro, jam jeden cię kochał!..

(Kassandra, w której postawie, w czasie mowy Koroibosa, maluje się zachwyt i walka, przy ostatnich jego słowach cofa się w głąb świątyni i staje wsparta o posąg Ateny).

Kassandra (z zamyśleniem). Czym ja wdzięczna Troi? Nie wiem. Czy rozdarte serce moje krwawym klejnotem ozdobi jej konające skronie, lub marnym pyłem w nicość ulecі? Nie wiem. Ale kiedy Apollo, dzieckiem zaledwie rozwiniętem z pieluch, wziął mię w ramiona i, jak matka pierś swą podaje niemowlęciu, do ust mi podał swą siedmiopromienną koronę, wraz ze światłem wiedzy, piłam ogień wszechmiłości. Gdyby ten ogień zgasł, światło słałoby się tak bladem, że przy niem, nie widziałabym nic, prócz siebie i — ciebie, któryby wtedy był szczęściem mojem. Zgaś we mnie ten ogień, Koroibosie, jak szczypce gaszą płomienie lampy, lub wyjm go ze mnie, jak łakome dziecię, ziarno orzechu wyjmuje z łupiny i wtedy mię bierz! Wtedy pijana radością, upadnę sama w twoje objęcia; bo czyliż mniemasz, że cześć Apolla wydarła ze mnie serce niewieście i krew człowieczą z żył wytoczyła?.. (z uniesieniem) Ale nie mogę teraz! Słyszysz, jak pożoga kruszy mury Troi? Czujesz te rany, które tam krwawemi wargi, zawodzą straszne jęki? Widzisz pychę wydętych greków i w krwawe błoto upadające, blade dzieci Troi? Bogowie! Szczęście, na łonie tej przeklętej nocy! Łoże małżeńskie, usłane w zgrozie i mordzie! Akt tworzenia, dokonywany w obliczu tysięcy śmierci? Coś ty rzekł, Koroibosie? Po coś tu przyszedł? Po to, aby pożegnać mię? Żegnaj więc! Idź walczyć!

Koroibos. Żegnaj, Kassandro! Chwilę jeszcze będę bykiem, który śmiertelnie i bezskutecznie ubodzie kilku greków, a potem, Idomena, dawno już na mnie zęby swe ostrzącego, poproszę, aby mię nadział na swoją dzidę. Tyś wieszczka, pewno wiesz, że gdy o godzinę wcześniej i zdala od ciebie umrę, Troja zmartwychwstanie (czyni ruch do wyjścia).

Kassandra (z wyciągniętemi ramionami). Koroibos! chwilę jeszcze... Idomenos pewnie cię szuka...

Koroibos. Chciałem, aby nas znalazł w takim uścisku, że gdy jedno na tamten świat wyprawić zamierzy, sam o tem nie wiedząc, wyprawiłby oboje. Czy mam odejść?

Kassandra. Męko nadludzka! Ja... jemu... śmierć przyspieszać!.. Apollo! na pomoc, Apollo! Odbierz mi swoje podstępne dary i niech w ostatniej godzinie mojej będę jak te niewiasty, dla których jedno istnienie święte imię: kochanek i jedno jasne pojęcie: rozkosz! Niech Koroibos nie odchodzi ze świata, z twarzą na mnie zagniewaną... Albo, Apollo, ukaż mi, za co cierpię? Niechaj w widzeniu przyszłości o sobie i o nim pamięć zatracę! Na pomoc, Apollo!

Koroibos. Kiedy ty modlisz się, czas upływa. Słyszysz te zbliżające się krzyki? To grecy, którzy już zaraz świątynię tę dostrzegą. Śmierć, którą nam niosą, zamiast pijanych słodyczą miłości, znajdzie nas strutych goryczą rozterki. O widzenie przyszłości bogów nie błagaj. Twoja, krótka, w twojej jest mocy, a dla Troi jej niema. Troja zginie.

Kassandra (podnosząc się od stóp posągu, z mocą). Nie zginie.

Koroibos. Coś rzekła?

Kassandra (przeistaczając się stopniowo w natchnioną wieszczkę). Przybywa, wołania me usłyszał i przybywa! Do mnie Apollinie, do mnie! Boże wiedzy i harmonij, piekielnych i niebiańskich widzeń, do mnie! Zbliża się, już jest przy mnie i do ust spieczonych męką przykłada mi swoją siedmiopromienną koronę. Pełnemi usty, Apollinie, chłonę twój napój i już potokiem waru przebiega mi on w żyłach, pierś wzdyma, dreszczami ciało wstrząsa, tysiąc promieni w źrenicach roznieca, mózg błyskawicami przeszywa! Przed chwilą mała i drżąca, wzrastam, mężnieję, śmiem, widzę, wiem...

Koroibos (z wiarą i upragnieniem). Co widzisz? co wiesz?

Kassandra. Milion szkód poniosą trojanie, morze mąk przepłyną i przybiją do brzegów — Hesperyi!

sunkach zewnętrznych iść będzie drogą, przez Freycineta wytkniętą.

Rozprawy dotyczące powiększenia wojska niemieckiego w delegacyi poufnej nie przyniosły podobno nic nowego. Z napomknień dziennikarskich widzimy, że wyjaśnienia rządowe, pieczęcią tajemnicy osłonięte, jedynie dotyczą porównania sił zbrojnych wielkich państw europejskich. Wyjaśnień polityczych minister wojny nie udzielił, gdyż nie należą one do jego wydziału, kanclerz zaś i syn jego są nieobecni. Niemniej opozycya, chociaż niezadowolona, ulegnie, jak zwykle. Moralną pomoc rządowi pruskiemu dał ks. Luitpold, regent Bawaryi, który przyjechał do Berlina, doznał u dworu bardzo serdecznego przyjęcia i udzieliwszy posłuchanie posłom bawarskim, usilnie na nich nalegał, aby za projektami rządu niemieckiego głosowali. Posłowie są w kłopocie, gdyż wyborcom swoim przyrzekli opierać się wszelkim nowym wydatkom; lecz prasa gadzinowa ręce zaciera z uciechy, zdradą zowiąc opór stawiany zamiarom Hohenzollernów i Wittelsbachów.

W okno pałacu niemieckiego cesarza ktoś rzucił kamieniem. Aresztowany przyznał się, że jest robotnikiem bez zajęcia i że tą drogą chciał zwrócić na siebie uwagę.

Zamiary rządu pruskiego w przedmiocie nowego podziału księstwa Poznańskiego dojrzewają. Liczba powiatów i urzędników ma być powiększona. Wniosek Jażdżewskiego, dotyczy większego uwzględnienia polszczyzny w sądownictwie, obcięty w parlamencie, upadł ostatecznie w Radzie związkowej. Wakującą posadę oficyała dyecezyi chełmińskiej oddano ks. Lüdtkemu, niemcowi, nieumiejącemu ani słowa po polsku. Nominacya ta wywarła przygnębiające wrażenie.

Deputacya bułgarska w Wiedniu przyjmowana uprzejmie, choć nie urzędownie przez Kalnokego, zrzekła się podróży do Petersburga, skutkiem objaśnień ambasadora ks. Łobanowa, że tam przez nikogo nie byłaby przyjęta. Zamiary podróży do innych stolic Europy wstrzymane zostały depeszą z Sofii, nakazującą czekać dalszego rozporządzenia ministra spraw zagranicznych, Naczewicza. W mieście Biele wybuchły zaburzenia. Ludność znieważyła urzędników. Z Ruszczuku wysłano do Bieli żandarmeryę. Pełnomocnik turecki w Ruszczuku, nakłaniający Bułgarów do wyboru ks. Dadiana, jako miłego Rosyi kandydata, został przez niektóre dzienniki pomówiony o fałszowanie dokumentów dyplomatycznych od Porty pochodzących i o fałszywe raporta do swej władzy.

Zapatrywania Rosyi na sprawy bułgarskie wyjaśnia okólnik dyplomatyczny ogłoszony w *Gońcu urzędowym*. Rząd rosyjski, pragnąc utrzymać pokój i spokojność na Wschodzie i stojąc na gruncie traktatów, kierować będzie, jak dotąd, usiłowania swoje ku wyzwoleniu Bułgaryi od regencyi i ku przywróceniu prawowitego porządku. Nie myśli przystawać na żaden taki układ, któryby służył jedynie do utrwalenia stosunków dzisiejszych.

BADANIA NAUKOWE.

DETERMINIZM A WOLNA WOLA.

P. Dawid utrzymuje w swem dziełku: *O zarazie moralnej*, że determinizm, przyjęty dziś powszechnie w nauce, wywiera zgubny wpływ pod względem moralnym. Na jakich dowodach opiera autor owo twierdzenie i jakie z niego wnioski wyprowadza, nie wiem, gdyż znam jego pracę tylko z krótkiego sprawozdania p. Potockiego w *Prawdzie*.

P. Potocki zdaje się zgadzać z zapatrywaniem p. Dawida, jakkolwiek nie bez pewnego zastrzeżenia. Powiada on, że szkodliwość determinizmu pod względem psychologicznym wynagradza się korzyściami, jakie on przynosi pod względem socyologicznym. Wyznaję, że nie rozumiem, jakim sposobem zasada, zgubna dla człowieka w zakresie jego życia wewnętrznego, może się stać zbawienną dla społeczeństwa. Z jakiegokolwiek stanowiska będziemy się zapatrywali na społeczeństwo, nie możemy w niem widzieć nic innego, tylko całość zbiorową, której żywotność stanowią uczucia, przekonania i dążności osobników, w skład jej wchodzących. Jeżeli determinizm szkodliwie wpływa na moralne uczucia jednostek, jeżeli pod jakimkolwiek względem paraliżuje ich działalność, to w następstwie tego muszą koniecznie wyniknąć skutki, które w sposób chorobliwy odbiją się w życiu społecznem.

Nie zastanawiam się bliżej nad tym przedmiotem, chodzi mi tu bowiem głównie o to, ażeby zbadać, o ile twierdzenie takie jest słusznem. Naturalnie, że wdawać się w polemikę z p. D. nie będę, gdyż, jak powiedziałem, dziełka jego nie znam. Rzecz swą będę rozważał ze stanowiska ogólnego, jako temat samodzielnej rozprawki. Pozwalam sobie na jedno tylko zwrócić jego uwagę, że nie zdaje mi się, żeby to był sposób właściwy traktowania zagadnień naukowych ze stanowiska etycznego. Jedno z dwojga: albo prawda jest, albo jej nie ma. Jeżeli jest, musi ona zawierać w sobie samej pewne znamiona, po których ją poznajemy i odróżniamy od fałszu. W takim razie nie potrzebujemy szukać ich zewnątrz niej, w tem, co może nie z niej wypływa, ale jest tylko następstwem zbiegu różnych okoliczności, które, zmieniając jej działanie lub zgoła paraliżując je, sprowadzają skutki przeciwne jej naturze. Upatrywać potwierdzenie prawdy w doraźnych jej skutkach, oceniać jej założenia ze stanowiska danej moralności, znaczy osadzać ją na „płytkim gruncie rozbujałych fluktów.“ Przypuśćmy zresztą, że zdołano udowodnić szkodliwość determinizmu. Cóż wtedy mamy uczynić z dowodami, które wykazują w sposób niezaprzeczalny, że determinizm jest jedyną teoryą, tłomaczącą w sposób naturalny istotę woli ludzkiej? Mamyż zamknąć na nie oczy i pomimo uznawanej prawdziwości determinizmu ochrzcić go, jako doktrynę szkodliwą? Ale w takim razie musielibyśmy chyba przyjąć, że dwie są prawdy: teoretyczna i praktyczna, coby nas znowu zmusiło do przyjęcia, że między człowiekiem a społeczeństwem nie masz

---

Koroibos. Hesperya? Nie słyszałem. Co to? gdzie?

Kassandra. Daleko... w przyszłości... czas nasycenia, pokoju, przyjaźni, pogody, zwycięztwa...

Koroibos Chyba na bogowie w dalekiej przyszłości na nowo stworzą, bo dziś wyginiemy wszyscy. Czy nie na zawsze giną mordowani?

Kassandra. Zawsze i nigdy, dwie zagadki w mgławicy wiecznych niepewności. Jak wicher mgłę, porywasz mię, Apollinie, tam, skąd na świat patrzą chmury. Wzrokiem ogarniam całe pole walki. Niema u ludzi słów, do opowiedzenia jej okropności; niema u ludzi miary, któraby zmieściła jej bóle i zgrozy. Ale z popiołów wylatuje Feniks. To gromadka trojan: mąż, niewiasta, dziecię i starzec... Idą, biegą, nie dosięgnie ich ramię greka... przybiegają ku nim inni: mężowie strzaskali czary upojeń, niewiasty pozrywały się z miękkich pościeli, dziecinne serca zagorzały jak drobne płomyki; niewolnicy pęta swe rozerwali... razem idą i nad odmętem zniszczenia wysoko niosą ojczyste bogi... Dobrze. Żyjcie! i imię Troi, bogi trojańskie, skarby trojańskie, potajemnie zniszczeniu wydzierajcie. Naprzód, Hesperya was czeka! Nie wszyscy ją ujrzycie. Ty, Krezo, jej nie ujrzysz i ty Auchisie i wielu innych. Uznojeni na twardych drogach popadacie, dzieciom swym w spuściznie pozostawiając nadzieję. Ale, przez was Troja odżyje w Hesperyi!

Koroibos. Prędko? czy prędko odżyje?

Kassandra (ponuro). Apollo! czemuż tak nieprędko? Rozkazujesz mi patrzeć na długi szlak przyszłości. Jakże długi! Widzę. Przybywają do kraju, poświęconego czci boga wojny, z drzew i krzaków, przez Marsa pielęgnowanych, chcą czynić sobie niespożyte zbroje. Biada! biada! z każdego drzewa, tkniętego ostrzem topora, tryska krew! z każdego krzaku, wyrwanego z łona ziemi, tryska krew! Płyńcie, krwawi, ku brzegom Cerery! Na wyspie, z urodzajności słynnej, pługi ich orzą głębokie skiby; jak złotym deszczem, ziarnami zboża okrywają je ręce siewców; ale żniwiarze, darmo w godowych sukniach nadziei na zagony przyszli; dla nich, zamiast żywiących kłosów, ziemia wydała szorstkie osty i gorzkie piołuny. Mdlejący z głodu dążą ku lądowi, na którym pasą się stada białorunnych owiec i już celne ich strzały z pozabijanych zwierząt zgotowały im ucztę obfitą, gdy słońce ćmi się i niebo zniko za chmurą drapieżnych Harpij. Obmierzłemi pióry okryte, śmierdzące wstrętnemi woniami, głodne i chciwe, oblatują one ich zastawione stoły i niesyte jeszcze tem, co znajdują na nich, krzywymi pazury wydzierają im z ust i gardeł kęsy żywności. Jedna z nich, najpotworniejsza, przeszywającym śmiechem napełnia powietrze: Marzycie o Hesperyi, woła, ale słuchajcie, co wam przepowie najpotężniejsza z Furyj! Zanim osiągniecie cel waszych marzeń, wściekłymi z głodu zębami zżujecie drzewo waszych pustych stołów. Bogowie tylko wiedzą, czy nie pozdychacie wprzód, nim napoją was i nakarmią migdały i winne jagody Hesperyi!“ Rzekła, a przerażenia pełni trojanie statki swe w inną kierują stronę. Rajskim niby uśmiechem, wabi ich wdziękiem łąk szmaragdowych i majestatem odwiecznych lasów wyspa cyklopów. W łonie potęgi gnieździ się dobroć, z piękności wytryska słodycz. Może w sile swej litościwe, przez piękność słodko wykołysane żyją tu dobre geniusze. Cyklop, głową niebios sięgający, jak na giętkiej trzcinie, na niebotycznej sośnie kroki swe wspierając, drogę im zachodzi. Jedno tylko ma oko, więc i tych świateł nie widzi, które skąpo na ziemię leje Apollo. W półciemności swej rozjątrzony, trojan szyderstwem spotyka: „Coś ty za jeden, rodzie robaków, który na równi ze mną chcesz nad tą wyspą panować? W jakim przystępie żartobliwego humoru bogowie stworzyli tych malców? Pójdźcie, niech was w garści mej uduszę i połknę tak, że gardło me nie uczuje, kiedy brzuch już strawi.“ Rzekł, a na głos jego z różnych stron widnokręgu zbiega się całe plemię olbrzymów, z okrutną radością wołając: „Zróbmy z nich sobie wieczerzę! We wnętrznościach naszych niech znajdą oni swoją Hesperyę!“ Długie cienie, które od cielsk cyklopowych na powierzchnię morza padają, chronią ucieczkę trojan. Bogowie! wołają oni, gdy mały ptak znajduje sobie gałąź, na której umieszcza swe gniazdo; gdy biedna mysz spokojnie zasypia w swej norze; gdy nędzny gad i robak schronienia swe mają w wodzie lub ziemi, dla nas że jednych miejsca pod słońcem zabrakło? Beznadziejni już, ze zmęczonemi kośćmi i duszami strutemi gniewem, wpływają w ciemność nocy. Przed nimi miasto słońca przyświecającego innym, krwistym płomieniem i ciemnymi dymy wybu-

naturalnego związku, że stosunki społeczne nie są bezpośrednim następstwem oddziaływania umysłu ludzkiego na czynniki zewnętrzne, że warunki życia są dane z zewnątrz, zupełnie obce naturze ludzkiej i jej prawom przeciwne; że człowiek nie inaczej może się do nich przystosować, jak za pomocą urojenia, nie inaczej może uniknąć kolizyi z niemi, jak przez zaparcie się własnej swej natury. Czy można na taki wniosek zgodzić się? Prawdziwość determinizmu i jego szkodliwość, to są dwa przymioty wręcz sobie przeciwne i znoszące się nawzajem. Jeżeli jest prawdziwym, szkodliwym być nie może, i odwrotnie, jeżeli jest szkodliwym, prawdziwym być nie może.

Dowodzić prawdziwości determinizmu nie mam zamiaru: chcę zastanowić się nad tem tylko, czy można w jakikolwiek sposób dowieść, że determinizm istotnie wywiera na ludzi wpływ demoralizujący, czy zarzuty, z jakimi występują przeciwko niemu wyznawcy wolnej woli, opierają się na faktach rzeczywistych?

Dwie mamy drogi, które wiodą nas do poznania prawdy: rozumowanie indukcyjne, które, uogólniając fakty, pozwala odkryć rządzące nimi prawa, i rozumowanie dedukcyjne, które, stosując prawo znane do faktów szczegółowych, tłomaczy je i wyjaśnia ich naturę.

Rozumowanie indukcyjne, gdy chodzi o wyjaśnienie wpływu determinizmu na postępowanie ludzkie i wogóle na stan moralny społeczeństwa, nie na wiele się przyda. Ani historya, ani obserwacya codzienna nie dostarczają nam dostatecznej ilości faktów, ażebyśmy mogli na ich podstawie dojść do jakiegoś uogólnienia, któreby dozwalało w sposób stanowczy zawyrokować o rzeczy tak lub inaczej. Zarówno w przeszłości, jak i w obecnej chwili determinizm jest wyznaniem małej tylko garstki ludzi i to naukowo wykształconych. Cała zaś masa ludzkości była i jest wierną zasadzie wolnej woli. Pojedyncze zaś fakty, jakie są dostępne naszej obserwacyi i jakie znajdujemy w historyi, bynajmniej nie dowodzą, żeby determinizm oddziaływał szkodliwie na moralną stronę życia ludzkiego. Ktoby zaś chciał wnioskować na podstawie spostrzeżenia, że od czasu, jak determinizm stał się jednym z głównych czynników postępu, obniżył się znacznie poziom moralności prywatnej i publicznej; że przyczyną tego obniżenia jest właśnie owa teorya — tenby się dopuścił logicznego błędu, znanego pod nazwą: „Post hoc, ergo propter hoc.“ Współczesność bowiem dwóch faktów nie koniecznie dowodzi przyczynowego związku między nimi. Determinizm nie jest faktem odosobnionym. Wystąpił on łącznie z innymi i z nimi pozostaje w najściślejszym związku. Wraz z nim należałoby uznać za szkodliwy cały kierunek współczesnej oświaty. Nie można nareszcie i o tem zapominać, że temu kierunkowi oświaty towarzyszą okoliczności, które niezależnie od niego powstały, jako bezpośrednie następstwo wypadków dziejowych. I te to właśnie okoliczności mogły wytworzyć takie warunki, które wpływają na osłabienie uczuć moralnych.

Bądź co bądź, drogą doświadczalną nie możemy dowieść ani, że determinizm jest szkodliwy, ani że takim nie jest. Nie możemy człowieka usunąć z pod wszelkich wpływów z wyjątkiem tego, jaki nań wywiera determinizm; również nie możemy w złożonym skutku, jakim jest postępowanie ludzkie, jakim jest na obszerniejszą jeszcze skalę obecny stan moralności powszechnej, wykryć, jaki w nim ma udział determinizm i czy wogóle ma jaki.

Nie mogąc na tej drodze znaleźć rozwiązania naszego zagadnienia, musimy go szukać na innej. W zagadnieniach tak zawiłej treści, jak sprawy życia ludzkiego, jedyną metodą, która daje się zastosować z pewnym skutkiem, jest dedukcyjna. Jakoż za pomocą tej to metody starają się przeciwnicy determinizmu dowieść, że jest on szkodliwy. Pod jakim względem? Wnet to zobaczymy. Tymczasem nie od rzeczy będzie przypomnieć, że metoda dedukcyjna, chociaż w tego rodzaju wypadkach jest jedyną, nie prowadzi przecież do wniosków bezwzględnie pewnych. Są one co najwięcej prawdopodobne; pewnymi zaś wtedy dopiero stają się, gdy zostaną potwierdzone przez doświadczenie.

Zarzuty, z jakimi występują przeciwko determinizmowi wyznawcy wolnej woli, dadzą się sprowadzić do dwóch, a mianowicie: że obalając wiarę w wolną wolę, osłabia wewnętrzną energię człowieka i że następnie, czyniąc wolę zależną od pobudek, zdejmuje z niego moralną odpowiedzialność za swe czyny.

Zanim zastanowię się nad moralnością tych zarzutów, muszę zwrócić uwagę, że wyznawcy wolnej woli pierwszym swym zarzutem stają w rażącej sprzeczności z bronioną przez się zasadą. Jeżeli bowiem uważają oni, że wiara w wolną wolę jest koniecznym warunkiem moralnego postępowania, tem samem uznają, że wola ludzka jest ograniczona, że zależy ona jeżeli nie od wszystkich pobudek, to przynajmniej od jednej, jaką jest wiara w posiadanie wolnej woli.

Zarzut, że determinizm, obalając wiarę w wolną wolę, osłabia wewnętrzną energię człowieka, oceniany ze stanowiska czysto teoretycznego, wydaje się bardzo słusznym. Osobiste doświadczenie każdego poucza, że człowiek o tyle tylko jest czynnym i przedsiębierczym, o ile wierzy w siebie, o ile ufa własnym siłom. Kto jest niepewnym siebie, ten na nic wielkiego zdobyć się nie potrafi, kto zwątpi o sobie w chwili działania, ten niezawodnie celu swego nie dopnie. Dla wykonania najprostszych nawet rzeczy, choćby takich, jak przeskoczenie rowu, potrzeba mieć pewność siebie. Słowem wiara w siebie, w swe siły jest jedną z najpotężniejszych dźwigni życia, główną pobudką działania ludzkiego.

Skądże się ona w nas bierze? Jestże ona w rzeczy samej bezpośredniem następstwem wiary w wolną wolę, a przynajmniej, czy nie wyrabia się pod jej wpływem?

Pragnąc odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba wprzód rozważyć, jaka jest natura wogóle wiary i jakie są warunki jej powstawania.

W. Kozłowski.

---

cha paszcza wulkanu. Z pod nich wzburzone wody rzucają w niebo tumany piasków, wydartych otchłani. Ryczące fale wznoszą czasem ich statek, aż pod deszczem lejące chmury, a czasem, pokrywając go sobą, strącają na dno czeluści. Z jednej strony, po wściekłem szczekaniu, poznają oni, że Scylla wypuściła na nich błękitną swą psiarnię; z innej, rozlega się w ciemnościach śmiertelne wycie Charybdy. Darmo sternicy wytężają resztki oślepionego wzroku; na wzdętych bałwanach, pomiędzy niebem i ziemią zawieszeni, ani dróg strasznych przeznaczeń rozwikłać, ani sterować, ani żyć, ani umrzeć nie mogą. Wtem statek o ląd uderzył. Zbawienie! Co mówisz, Apollo? To nie zbawienie jeszcze? To ostatnia i najstraszniejsza próba? To kraj Dydony. Królowa rozkoszy i blasku, w orszaku lubieżnych niewiast, przed zmęczonymi, przed tymi, w których nadzieja skonała, bramy pałacu swego otwiera. Z powodzi świateł, z biesiadnych stołów, z miękich łóż i ciał śnieżnych, w których, jak płomień w alabastrowych lampach, kołysze się ogień szału, bije niepokonany czar. Girlandą kwiatów, które już więdły, a teraz chciwie piją niebieską rosę, trojanie pyszne stoły obsiadają i w blaskach, pieśniach, uściskach, spoczynkach, rozciskają o podniebienia słodką jagodę rozkoszy. Apollo! czy oni tu posną na wieki, czy, w marny pył obróceni, rozwieją się po świecie bez śladu, bez wspomnienia, bez tej nawet czci pogrzebowej, która ostatniem echem chwały brzmi nad grobami wielkich? Czy imię Troi zgaśnie wraz z nimi, jak owe gwiazdy, co, porzuciwszy niebo, gasną i giną w nieprzejrzanej i pustej ciemności? Czy daleka Hesperya bajką tylko była, którąś wymyślił na pociechę spłakanym dzieciom? Ratunku, Apollo! Na pomoc! A! przybywasz! Boże wiedzy i wzniosłych piękności, przybywasz ku nim, trzeźwisz ich upojone głowy i krzepisz omdlałe serca. Zrywają się znowu, wiedzą, kochają, chwytają rudle i wiosła, naprawiają swe statki, rozpinają żagle, płyną, oblicze potem oblane w stronę Hesperyi zwracają, już ją spostrzegli... już wpływają w pokój, w sytość, w przyjaźń, w pogodę! Zwyciężyłaś sprawiedliwości!.. Hesperya! Hesperya!

(Drżąca konwulsyą natchnienia i zachwytu Kassandra milknie. Koroibos zbliża się do niej z lękliwą czcią).

Koroibos. Skraj sukni twej całuję, błogosławiona! Więcej mi szczęścia dałaś, niżem żądał; wiem, za co cierpiałem. I oto znowu gotowy jestem do cierpień i boju, bo tylko ci, w których nadzieja umarła, zcierają zbroję... Co mam czynić? Rozkazuj!

Kassandra (zrywając się). Do walki! do walki! Gdy jedni giną, inni ojczyste bogi i skarby ratują! Z ginących bogowie kują tarczę dla zbawianych! Koroibosie, oboje my, precz z tych murów! Ja wołać będę: walczcie! Ty walcz! (Wstrzymując się, ciszej). Zginiemy razem!

(Hałas bitwy zbliża się, drzwi świątyni, gwałtownie pchnięte, otwierają się na oścież, wpadają wodzowie greccy: Idomenes i Agamemnon, za nimi tłum walczących trojan i greków).

Idomenos. Tuś, Koroibosie! a z tobą najpiękniejsza z córek Priama! Mądryś, chciałeś umrzeć z czarą mocnego trunku przy ustach! Masz, synu Migdona, który mi zabił brata! pij zimną śmierć! (zabija go, do żołnierzy, wskazując Kassandrę). Dziewkę zwiążcie! Piękny to dodatek do zagrabionej nam Heleny, która, prawdę mówiąc, djable postarzała...

Kassandra (którą wiążą, do trupa Koroibosa). Żegnaj najukochańszy! (Podniesionym głosem). Walczcie, trojanie! Puklerzem jesteście, którym osłonię te czary, płynę ku Hesperyi!

Idomenos. Agamemnon! Agamemnon! weź sobie na własność tę kotkę, wyjącą jak wilczyca! Niech wieszczka trojańska myje podłogi w domu greka i niech słodka twa Klitemnestra na jej twarzy tępi swoje paznogcie! Może mniej ostro będą drapały ciebie!

Kassandra. Niewola! Jakto! Zamiast śmierci, niewola! Okrutni bogowie! Gdybym imionom waszym bluźniła przez milion wieków, nie znaleźlibyście dla mnie sroższej pomsty!..

(Słudzy Agamemnona unoszą ją).

Kassandra (wznosząc w górę związane ręce). Apollo! wszak obietnicy swojej dotrzymasz? wszak oni kiedyś będą w Hesperyi!

Eliza Orzeszkowa.

ODSZCZEPIEŃSTWO W DARWINIZMIE.

Kilka herezyj przeciw darwinizmowi. Tak zatytułował Karol Vogt odczyt swój, wypowiedziany w towarzystwie przyrodniczem w Genewie, korzystając, jak się tłomaczył dowcipnie, z tego, że już i w mieście Kalwina wolno być odszczepieńcem. „Nie sądźcie, abym opuścił sztandar, pod którym idę od dawna; jestem darwinistą bardziej niż kiedykolwiek; przyjmuję najzupełniej dziedziczność, zmienność, walkę o byt, wybór naturalny i nie odrzucam żadnej z podstaw darwinizmu. Herezye moje dotyczą tylko nieuzasadnionych zastosowań, przesady, wniosków fantazyjnych, narzucanych nam jako dogmaty.“ Mianowicie zaś rdzeń nowych poglądów Vogta ująć się da w następującą tezę: „Dzisiejsza klasyfikacya zoologiczna jest wyrazem nie pokrewieństwa rzeczywistego między rozmaitemi gatunkami, klasami, rzędami, rodzinami lub nawet rodzajami, pokrewieństwa, którego wywód opierałby się na rozwoju etnogenicznym i filogenicznym, ale— przynajmniej w wielu wypadkach — jest wynikiem podobieństwa cech napotykanych u gatunków mających odmienne pochodzenie.“

Powodowani dążnością do uogólnień, przypuszczamy chętnie, że natura działa według jednego planu, jakiśmy sobie obmyślili. Tymczasem w istocie dochodzi ona drogami najbardziej nieraz urozmaiconemi do wyników jednakowych, Weźmy przykład ze świata nieorganicznego. Siarek żelaza napotyka się częstokroć w gruncie, w wodach bieżących, stojących, słowem nieledwie wszędzie. Chemik jednakże roześmiałby się, gdyby mu kto powiedział, że wszystek siarek ten powstał najprostszym i jednakowym sposobem, przez topienie zmieszanych opiłek żelaza i siarki. Ależ, powiedziałby, w laboratoryach można ten związek otrzymywać setką sposobów: przez połączenie bezpośrednie pierwiastków, przez odtlenianie siarczanów, przez rozkład innych siarków, częstokroć otrzymujemy go, jako produkt uboczny. Nie inaczej dzieje się w naturze; chodzi ona drogami tak krętemi, jak niegdyś alchemicy, a co się tyczy drogi najkrótszej, najbezpośredniejszej, to możnaby dowieść, że na całej kuli ziemskiej nie masz ani jednego atomu, któremuby takie powstanie przypisać można. I tak jest. Wynalazłszy jakiś sposób otrzymania danego produktu, przekonywamy tylko, że sposobu tego przyroda użyćby mogła, nie zaś — że go użyła. Tembardziej stosuje się to do świata ustrojowego, tak zawiłego i złożonego.

Weźmy jeszcze jeden przykład.

Niema zapewne między ssawcami grupy jednostajniejszej od jednokopytnych, czyli koni. Ledwo kolorem szerści odróżniono konia centkowanego afrykańskiego, zebrę od konia (*equus*). Osteologa wytrawnego trzeba, żeby znalazł różnicę pomiędzy szkieletem osła, żebry lnb hemiony (dżigetaj, kułan) a szkieletem konia drobnego. Konie pasące się dziś w Ameryce wprowadzone są ze starego świata. Wiemy jednak, iż był tam gatunek (*equus curvidens*), mało rożny od naszego, w epokach czwartorzędowej i plioceniczney, który wygasł w zaraniu teraźniejszej epoki. Nadto wiemy, że drzewo genealogiczne jednokopytnych dokładniejsze jest niż innych ssawców i że w Ameryce jeszcze lepiej znany ich rodowód, niżeli na starym lądzie. Mamy całkowitą pewność, że dzisiejsze jednopalczaste, z uzębieniem przerzedzonem i uspecyalizowanem, pochodzą od pięciopalczastych, posiadających uzębienie zupełne. Otóż rodzaj *equus*, tak na pozór jednostajny, mianowicie zaś jednokopytne teraźniejsze i czwartorzędowe, tak mało na rzut oka odmienne, są wszakże podług Vogta odgałęzieniami dwu pni różnych, typ jednokopytny jest więc *difiletyczny*.

Oto ich tablica w porządku coraz dawniejszym:

Szereg rodzajów starego świata:	Pokłady trzeciorzędowe i czwartorzędowe:	Szereg rodzajów nowego świata:
Equus	Czwartorzędowy	*Equus*, *Hippidium*.
Hippotherium *Protohippus*.	Plioceniczny.	*Hippotherium*, *Protohippus*, *Pliohippus*.
Hipparion	Mioceniczny wyższy.	
Anchitherium *Mezohippus*, *Miohippus*	Mioceniczny średni	*Meryhippus*, *Parahippus*, *Hiohippus*, *Anchippus*.
Anchilophus, *Paloplotherium*, *Palaeotherium*.	Oligoceniczny.	*Epihippus*.
Pliolophus, *Pachynolophus* *Propalaeotherium*.	Eoceniczny wyższy.	*Orohippus*.
Lophiotherium.	Eoceniczny niższy.	*Eohippus*.

Im w głębsze zstępujemy pokłady, tem wybitniejsze napotykamy różnice. Dopiero w pliocenicznych i czwartorzędowych po obu stronach oceanu znajdujemy gatunki jednakowe: *Protohippus*, *Hippotherium* i wreszcie ostateczny: *Equus*.

Podobne zjawiska dostrzegł Vogt, badając pochodzenie przeżuwaczy, wielbłądów, świń, nosorożców, mięsożerców.

Fakta powyższe prowadzą do uznania *zbieżności cech*, którą wyjaśnimy, przytaczając tezę, postawioną przez tegoż uczonego na kongresie towarzystwa popierania umiejętności (Association française pour l'avancement des sciences) w Lille, 1874 r., tezę, w której doszedł, badając pasorzyty należące do pokrewieństw odmiennych, mięczaków, stawonogów i robaków (*Entoconcha, Sacculina, Redia*): „Przystosowanie długotrwałe do przyczyny zacieśnionej lecz potężnej, zaciera stopniowo cechy rozbieżne typów i powoduje ostatecznie, jeżeli nie zlanie się to przynajmniej zbliżenie tak daleko posunięte, że cechy odmienne, istniejące między wielkiemi nawet rodzinami zwierzęcemi, stają się niedostrzegalne.“

Do wniosków podobnych doszedł Giard.

Haeckel, monophyletysta *par excellence*, w swej „Monografii meduz,“ będącej owocem długich i cierpliwych badań, twierdzi, że z całem prawdopodobieństwem zaliczyć możemy meduzy do zwierząt *polifiletycznych*.

Przypatrując się zmianom pojedynczych członków, spostrzedz możemy te przejścia. Przykładem odnóża zamieniające się w wiosła. Dość porównać szeregi zmian w budowie nóg, przechodząc od żółwia ziemnego do morskiego, od drapieżców lądowych do fok, a dalej do wielorybów i halisaurów; czyliż nie spostrzegamy dowodów zbieżności ku jednostajnej budowie, skutkiem oddziaływania jednej przyczyny potężnej na typy bardzo rozmaite? Czyliż aż do ostatnich czasów nie zaliczano wałów (dwupletwowców — *cetacea*) mięsożernych do wspólnej rodziny z syrenami — wyłącznie dla jednakowej budowy narzędzi ruchu, mimo odmienności wszelkich innych cech?

Badania paleontologiczne i embryogeniczne dowiodły stanowczo, jakby się zdawało, że wszystkie przekształcenia i zmiany zachodzą trzema różnymi sposobami:

1) przez uszczuplenie kolejne i ostateczną utratę cech pierwotnych;

2) przez rozwój nadmierny i jednostronny cech, które pierwotnie istniały tylko w stanie szkicowym;

3) przez zmiany zastosowań i czynności (Functionswechsel — u niemców) części niektórych. Na trzecią tę okoliczność Dohrn zwracał już dawno uwagę przyrodników, lecz nie znalazł posłuchu. A przecież mieści się w niej może i czwarty rodzaj przekształceń: łączenie części dawniej oddzielnych i rozdzielanie łącznych.

Jeżeli powyższe wywody są słuszne, to harmonijny rozwój ustroju polega nie na tem, iżby wszystkie narzędzia dosięgły jednakowego stopnia rozwoju, ale na tem, iż jedno lub kilka narzędzi otrzymuje przewagę, a inne się przystosowują, aby nie przeszkadzać, owszem, pomagać organom przeważnym. W człowieku np. ustrój cały jest upodrzędniony mózgowi. Wiele organów jest niedołężnych, lub opóźnionych w rozwoju. Odnóża zachowały pięciopalczaste zakończenia pierwotne; oko z pewnych względów tak jest wadliwe, że słynny Helmholz na odczycie w Brunszwiku w 1871 r. wyliczywszy zarzuty przeciw temu narzędziu, powiedział: „gdyby optyk sprzedać mi chciał instrument tak ułomny, to czułbym się w prawie zrobienia mu najostrzejszych wymówek za niedbalstwo w robocie i przyrzuciłbym towar.“

Dalszem następstwem, jeszcze może ważniejszem jest, iż narzędzia, podlegające przekształceniu, musiały istnieć w organizmach dawniejszych, bądź rozwinięte, bądź naszkicowane.

Z tego wszystkiego wyprowadzić można wnioski sprzeczne z wielu dogmatami naukowemi, dziś przyjętemi. To też... Vogt zapowiedział herezyę.

Ustalono prawo *zasadnicze*, zwane *biogenetycznem*, podług którego ontogenia (historya rozwoju osobnika od chwili powstania aż do zupełnej dojrzałości) i filogenia (historya rozwoju rodów zwierzęcych w kolei epok), powinny sobie ściśle odpowiadać. Zarodki powinny przebywać w skróceniu też same zmiany, jakim podlegał gatunek przez ciąg epok geologicznych. Prawo to okazałoby się z gruntu fałszywem.

Dalej — niemożliwem byłoby wyprowadzać ustroje z budową bardziej złożoną, od ustrojów prostszych. Jakoż ani paleontologia ani embryogenia nie dostarczają przykładu, żeby ustrój nabył nowe narzędzie, którego przedtem wcale nie posiadał. Tymczasem przeciwnych wypadków mamy obfitość. Prędzej więc należy wnosić o powstawaniu prostszych ustrojów z bardziej złożonych. Podług tego wypadłoby przerobić wszystkie drzewa rodowodowe, przedstawiane dotąd za ostatnie słowo wiedzy w ogólności, a darwinizmu w szczególności.

A fakta paleontologiczne? A fauna paleozoiczna? Vogt i tu nie napotyka niezwyciężonych trudności. Przedewszystkiem przyjmuje, że to gatunki zaginione, któreśmy poznali, nie są zapewne pierwszemi, jakie istniały. Nadto żyjące niegdyś np. kwiatowce, liliowce, ramionogi (*anthozoa, crinoidea, brachiopoda*) bynajmniej nie są niższe od swych imienników dzisiejszych. Głowonogi (*cephalopoda*), bezspornie najwyższe z pośród mięczaków, ukazują się już w najdawniejszych pokładach. Istnieją typy, zwane przez paleontologów *zbiorowemi*, o kształtach niepewnych, które z czasem, przez różniczkowanie przechodzą do grup rozmaitych. Niewiadomo, jak zaklasyfikować np. niektórych drapieżców kopalnych: do niedźwiedzi, łaszowatych (*viverridae*) czy kotów? A przecież są to zwierzęta równie dobrze uorganizowane, jak ich następcy, których cechy z upływem czasu wyspecyalizowały się i umożliwiły nam podział dzisiejszy. Niektóre podobne typy mieszane zachowały się dotąd, jak niplazy (*dipnoi*) z postacią pośredniczącą między rybami i płazami. Być może, iż niplazy są pniem, z którego rozrodziły się z jednej strony płazy, z drugiej ryby — co przekonywałoby o istnieniu także i rozbieżnego przekształcania się cech, lecz nie wyłączałoby przekształcania zbieżnego.

Posługując się przyjętem porównaniem rozwoju typów rozmaitych jakby z jednego drzewa, rozgałęziającego się coraz bar-

dziej, Vogt wnosi, iż gałęzie tego drzewa jeśli nie wyginają się ku ziemi korzeniami powietrznemi, aby nowe rośliny utworzyć, tedy przynajmniej plączą się z sobą tak, iż gałązki z *różnych* wyrosłe konarów nadają się do tworzenia *wspólnych* klas, rzędów lub rodzin bez względu na pochodzenie.

Zb.

ŹRÓDŁA BOGACTWA.

II.

Do ciekawszych ustępów książki Wirtha należy rozdział zatytułowany: płaca i oszczędność. „Dziwnem — mówi autor— i smutnem zarazem jest zjawisko, iż przy obecnym, przeciętnym stanie oświaty u ludzi cywilizacyi zachodniej łatwiejsze nierównie znajdują powodzenie błędy olśniewające, aniżeli prosta prawda; stąd pochodzi, że szarlatani daleko prędzej zjednywają sobie zwolenników, aniżeli mędrcy, którzy nowe drogi torują dla przyszłych stuleci. Tak np. nigdy w świat większego nie rzucono humbugu, jakim jest tak zwane „żelazne prawo płacy,“ które stało się punktem wyjścia dla wszystkich agitacyj socyalistycznych.“ Wykazuje dalej, że prawo to, sformułowane w twierdzeniu, iż przeciętna wysokość płacy robotniczej w ciągu dłuższych okresów czasu równa się kosztom produkcyi pracy — żadnego w życiu rzeczywistem nie ma zastosowania, na dowód zaś powołuje cały ruch ekonomiczny, jaki odbywał się w Europie i Ameryce pomiędzy 1822 a 1872 rokiem. Ludność obu tych części świata nigdy przedtem nie wzrosła tak szybko, jak w tej epoce właśnie, nigdy przedtem nie wynaleziono tylu maszyn oszczędzających pracę, nie zaprowadzono tylu urządzeń ułatwiających wymianę, jak: statki parowe, koleje żelazne, telegrafy itp., a pomimo to płace robotnicze w tym okresie podniosły się o 50 — 100 procent, podczas gdy ceny najniezbędniejszych artykułów żywności nie o wiele podrożały, po części nawet (jak odzieży) uległy obniżce.

Co do przyczyn, warunkujących wysokość płac robotniczych wogóle, Wirth jest zdania, że przed wzięciem pod uwagę kwestyi podaży i popytu, wprzód jeszcze zastanowić się wypada nad czynnikami: nad stosunkiem zapasów kapitału i zdolności nabywczych kraju danego do liczby jego ludności, nad zręcznością, wprawą i pewnością (Zuverlässigkeit) robotnika, a wreszcie — nad jednostkowem stanowiskiem gospodarczem tegoż robotnika, to jest nad pytaniem, czy doszedł on do pewnych oszczędności, czyniących go przynajmniej czasowo niezależnym od podaży ze strony pracodawcy. Mówiąc o pierwszym z tych czynników, zaznacza, iż praca niekoniecznie jest niską dlatego, że kraj pewien jest gęsto zaludniony. Jest ona niską wprawdzie w Chinach, Japonii i Indyach, które mają ludność znaczną, a wysoką w Ameryce, słabo jeszcze zaludnionej; ale również wysoką jest w Belgii i Anglii, gdzie ludność także sama, a może i większa niż w Azyi wschodniej. Zjawisko to tłomaczy się tem, że ludy, zamieszkałe na północo-zachodzie Europy, posiadają wielkie zapasy kapitału i potężną siłę przedsiębiorczą. Co do rozwoju drugiego z czynników wspomnianych, wpływ wielce zbawienny wywarły szkoły fachowe. Poczatkujący rzemieślnicy uczą się w nich najodpowiedniejszych zasad technicznych, poznają najnowsze i najlepsze narzędzia, metody, formy, dowiadują się o źródłach, skąd najkorzystniej sprowadzać przyrządy, maszyny i materyały surowe, przedewszystkiem zaś zaznajamiają się z dokładną i gustowną robotą. Pomiędzy robotnikiem starannie wychowanym, zręcznym, pewnym i wogóle dzielnym, a czeladnikiem przeciętnym, który obraca się wśród zastarzałej rutyny rękodzielniczej i ze zwyczajem poniedziałkowania zerwać nie może— ogromna zachodzi różnica, a różnica ta głównie ujawnia się w gwałtownych odskokach norm płacy.

Szczególny nacisk kładzie autor na jednostkowe stanowisko gospodarcze robotnika, jako na trzeci z owych czynników. „Robotnik — powiada — który żyje z rąk do ust, poprzestać musi na byle jakiej płacy. Ten zaś, który ma spory wkład w kasie oszczędności, może dyktować warunki pracodawcy.“ Brak rządności, jak dowodzi dalej, jest złem ogólnem, panującem śród rzemieślników, a nałóg przepuszczania znacznej części zarobku tygodniowego pomiędzy sobotą a poniedziałkiem — główną przyczyną, że do niczego dojść nie mogą. Z tem łączy się jeszcze lekkomyślność pożyczania. Większość robotników lubi mieć rachunek w sklepiku lub u kramarza i płacić w końcu tygodnia. Skutkiem tego unikania kupna za gotówkę, zamiast oszczędzać, przyzwyczajają się do robienia długów. Z jednej bowiem strony rachunki kramarskie zaspakajają się z pieniędzy przeznaczonych właściwie na opędzenie potrzeb tygodnia następnego, a z drugiej— branie na kredę zawsze kosztuje drożej. Wszystkie bez wyjątku stowarzyszenia spożywcze skarżą się na udaremnienie wszelkich zabiegów w celu skłonienia robotników do uczestnictwa.

Tak np. pierwsze tego rodzaju stowarzyszenie wiedeńskie (instytucya doskonale kierowana i pięknie rozwijająca się, w której tytułem wkładu wymaga się 5 guldenów i która corocznie wypłaca pięcio-procentową dywidendę od sumy zakupionych towarów) zrobiło próbę wciągnięcia robotników przez uwolnienie ich od obowiązku wniesienia gotowizną wkładu pierwotnego i oświadczyło gotowość potrącenia tej kwoty z dywidendy rocznej. Nie udało mu się zjednać ani jednego — z powodu wstrętu do wypłat w gotówce. Zarząd kolei konnej w Wiedniu przez kilka lat z rzędu wydawał bilety abonamentowe po 10 krajcarów, a później po 8 za kurs, z warunkiem nabywania po dziesięć biletów odrazu. Następstwem tego ułatwienia było, że wszyscy ludzie zamożni mieli bilety abonamentowe, ubodzy robotnicy zaś płacili zazwyczaj po 12, lub po 10 krajcarów dlatego, że nie chciało się im wydać odrazu guldena lub 80 krajcarów. Wszelako podobna oszczędność na małą skalę niezmiernie jest ważną i nie bez powodu każda uczciwa matka stara się wpoić dzieciom swoim pilność, chęć do nauki i poprzestawania na małem.

„Śmieszną jest — powiada Wirth—wymówka wielu, że zarabiają zbyt mało, aby mogli robić oszędności. Niech spróbują rzucić poniedziałkowanie, zamiast w knajpie zadymionej, spędzić niedzielę w domu nad książką pożyteczną lub przy grze nauczającej — a przekonają się niebawem, jak szybko wzrastać będzie ich kapitalik w kasie oszczędności. Wszak pospolicie uważa się sługi za najniższy stan śród robotników. Otóż, każdy służący lub służąca w ciągu lat dziesięciu, unikając wszelkich niepotrzebnych wydatków, może zaoszczędzić sobie 500 do 1,000 marek, z któremi jest wstanie rozpocząć zajęcie samodzielne. Sam znam dwie praczki nad jeziorem starnbergskiem, które w ten sposób złożyły sobie mająteczek, wynoszący 15,000 marek. Pełno naturalnie mają konkurentów, ale stronią od małżeństwa, ponieważ niedowierzają dzisiejszym mężczyznom i niechciałyby, aby oszczędności ich poszły na marne.“ Zbijając twierdzenia komunistów o niesprawiedliwości podziału dóbr ziemskich, autor wyraża zdanie, że natura sama stworzyła ubóstwo i że zadaniem ludzi i ich społeczności jest naprawiać niedostatki natury. Bywają ludzie z urodzenia zdrowi i chorowici, silni i słabi, piękni i brzydcy, szlachetni i pospolici, wysoko uzdolnieni i głupi.

Chorowici, słabi, brzydcy, pospolici, głupi, ubóstwu największego dostarczają zastępu. Mała tylko ich cząstka unika tego losu dlatego, że otrzymała od rodziców majątek lub dobre wychowanie. Jednostki śród ubóstwa urodzone mogą, jeśli posiadają ku temu odpowiednie zdolności naturalne, zastąpić sobie niedostatki wychowania samo-wykształceniem i dobić się znaczenia i bogactwa. Dzieje przemysłu nowoczesnego przedstawiają nam setki przykładów, w których prości czeladnicy, niemający ani grosza z domu, wyszli na milionerów i książąt klasy robotniczej. A choć w tych razach niewątpliwie rozstrzygającem było powolne nabywanie wysokiej biegłości technicznej, nie brak jednak wypadków, w których zwyczajni wyrobnicy jedynie drogą pracy, oszczędności i rozumnej wstrzemięźliwości dosięgli wysokiego szczebla dobrobytu.

„Oto są — kończy autor — z życia poczerpnięte uwagi, które każdy przykładami z własnego doświadczenia uzupełnić może. Oto prawda, oto istota rzeczy. Tylko tą drogą naturalną, rozumną i trzeźwą robotnik, przez przyrodę i rodzinę upośledzony, do wyższego stanowiska dojść jest w stanie. Ci zaś, którzy jako dźwignię postępu nie zalecają mu nigdy pilności, wstrzemięźliwości, oszczędności, obyczajności, w których słowniku nie ma wcale wyrazów: zręczność, robota wykończona, pilność, pewność, którzy marzą raczej o „uposażeniu wydziedziczonych,“ szerzą hasła „własność jest kradzieżą“ lub „kapitał to wydarta praca,“ albo też żyją kosztem robotników, żeby całkowicie módz poświęcić się agitacyom i knowaniom socyalistycznym — ci wszyscy są nieprzyjaciołmi ludzi utrzymujących się z pracy rąk.“

Pod napisem „stracone placówki ekonomiczne“ Wirth wskazuje zastarzałe zwyczaje i nałogi, które bądź bezpośrednio, bądź pośrednio, stają się przyczyną ubóstwa klasy robotniczej. Do takich, oprócz poniedziałkowania, pociągu do próżniactwa ze strony ludności wiejskiej i górskiej, wstrętu do kupowania za gotówkę i skłonności do pożyczania (o których mówił poprzednio) — zalicza wyprawianie uczt weselnych, chrzcin i styp. Pozbawiają one często młodą parę lub rodzinę najniezbędniejszego kapitału obrotowego. Są jeszcze okolice w Niemczech, w których wesele młodego chłopa przez ośm dni jest obchodzone w obecności setek gości. Podczas hulanki podobnej, zarzyna się wołu, mnóstwo cieląt, wieprzów i owiec, a gęsi i kur bez liku, wypija się piwa i wina beczki całe, a muzyka przygrywa. Gospodarze bogaci mogą wytrzymać coś podobnego, zadłużeni zaś, którym duma ustępować nie pozwala, tego rodzaju marnotrawstwem dają początek ruinie własnej. Z tego względu zasługuje na wyróżnienie zwyczaj panujący w kilku kantonach szwajcarskich, w których znajomi ubogiej młodej pary zapraszani bywają na wesele do karczmy, gdzie sami płacą za to, co zjedzą — a nadto jeszcze nowożeńcom znoszą dary pieniężne. Straconą placówką też są liczne święta. Za przykładem Francyi zniesione one są wprawdzie w większej części krajów, a zachowane tylko prócz niedzieli, najuroczystsze święta kościelne, jak Boże narodzenie, Wielkanoc, Zielone świątki i mniej więcej jedno święto narodowe. Ale w innych, jak np.: w Austryi, tyle jest świąt kościelnych, przejętych od wieków średnich, że to jedno mogłoby nam wytłomaczyć, dlaczego ona niżej stoi pod względem zamożności, aniżeli mniej żyzne państwa niemieckie. Jeśli przyjmiemy, że Austrya obchodzi tylko o 12 dni święte-

cznych więcej, niż Francya, to — w przypuszczeniu, że sześć milionów gospodarstw pojedynczych traci tylko przeciętnie po jednym guldenie, a nadto, że na rozrywki świąteczne wydaje więcej, niż zwykle — wypadnie, że bogactwo narodowe Austryi z tego powodu wyłącznie zmniejsza się corocznie o 144 miliony guldenów!

Tu także należą znaczne kupy nawozu, które niedbali gospodarze pozostawiają w miejscach niewłaściwych, tak, że on ścieka do rzeki, zatruwa powietrze i naraża na straty milionowe. Przy tej sposobności Wirth zaznacza, że gospodarze niemieccy dziwną jakąś mają słabość do urządzania studzien tuż obok śmietnika. Przyczyną tego prawdopodobnie jest chęć umieszczenia wody dla bydła jak najbliżej stajni. Cokolwiekbądź, półbiedy to jeszcze, gdy woda bieżąca; ale niechybne źródło zarazy, gdy wody dostarcza zwykła studnia. Chowanie pieniędzy po starych garnkach, pończochach i materacach—także jest zwyczajem ekonomicznie szkodliwym. Właściciele nietylko tracą procent, lecz często ginie i sam kapitał, który w kasie oszczędności byłby umieszczonym bezpiecznie i korzystnie. Podobne gromadzenie skarbów bardzo jeszcze jest upowszechnione śród ludności wiejskiej, w Indyach zaś zwyczajem ogólnym, to też są one właśnie punktem składowym dla srebra z krajów Zachodu. Ujemną również stronę charakteru ludności wiejskiej, jako i pomniejszych rękodzielników, stanowi wstręt do używania nowych, udoskonalonych narzędzi, maszyn i metod. W tej mierze daleko niżej stoi lud niemiecki od amerykańskiego.

(D. n.)

Ad. J. Cohn.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ROSYJSKA.

W jedenastym zeszycie *Wiestnika Jewropy* znany autor ciekawej pracy p. t. *Kwestya polska w literaturze rosyjskiej*, (wydanej w r. 1881 nakładem *Prawdy* w tłomaczeniu polskiem), zamieścił obszerny szkic biologiczny, a właściwie stydyum, poświęcone etnografowi i archeologowi naszemu, Zoryanowi Dołędze Chodakowskiemu (ur. 1784 r.). Nazywał się on właściwie Adam Czarnocki *). Pierwszą szkołę przeszedł u kuzyna swego, Ksawerego Czarnockiego, podstolego witebskiego, a następnie uczył się w szkółce powiatowej w Słucku do r. 1801, skąd wyjechał do Nowogródka, gdzie praktycznie studyował prawo u adwokata. W r. 1807 został rządcą majątków hr. Niesiołowskiego. Tam poznajomiwszy się z jego siostrzeńcem, wraz z nim chciał uciekać zagranicę, skutkiem tego aresztowano go i odwieziono do Grodna, a następnie do Petersburga, gdzie był pozbawiony praw szlacheckich i oddany do wojska w Omsku. W r. 1810 zakomenderowano powrót do Litwy przez Perm, skąd w r. 1811 Czarnocki uciekł do Warszawy, gdzie się początkowo nazwał Lubrańskim a następnie Chodakowskim. W Polsce przebywał lat dziewięć, oddając się badaniom archeologicznym i etnograficznym. W r. 1819 wyjechał do Petersburga, gdzie się ożenił z p. Konstancyą Fleming. Tu przedstawił swój projekt podróży po Rosyi w celach naukowych, a otrzymawszy 3,000 rs. na wydatki, wyruszył r. 1820 wraz z żoną w okolice Ładogi, Nowogorodu, Twery i Moskwy. W Moskwie ułożył mapę słowiańszczyzny i obszerny słownik geograficzny. W r. 1822 posłał do Petersburga sprawozdanie ze swej podróży, które zostało źle przyjęte przez znanego naówczas archeologa Kałajdowicza i wskutek tego Chodakowski nie otrzymał więcej zasiłku rządowego. Nie mając żadnych środków do życia, przyjął miejsce zarządzającego majątkami u jednego z obywateli twerskich i tu, we wsi Pietrowskoje 1825 r. nagle życie zakończył.

Według Pypina Czarnocki był postacią wielce oryginalną i zdolną. On pierwszy zwrócił uwagę na lud, dowodząc, że powinniśmy obcować częściej z ludem nietylko dlatego, żeby zbierać materyale etnograficzne, ale i dlatego, żeby zżyć się z nim, poznać duszę jego i naturę. Wśród literatów rosyjskich miał wielu wielbicieli: Karamzin z wielkiem zajęciem studyował jego teorye. Pogodin i Polewoj należeli do jego serdecznych przyjaciół; w literaturze polskiej po dziś dzień cieszy się ten etnograf-samouczek niemałą sławą, jako twórca nowego kierunku poezyi polskiej, który jej dał szkołę ukraińską i Mickiewicza. W nauce Czarnocki znany jest jako zbieracz pieśni ludowych i badacz starożytności słowiańskich w Galicyi, Małorosyi i Wielkorosyi.

S. D.

*) A nie Czajkowski, jak go nazywn p. Wieniewicz w sprawozdaniu swojem z ostatniego zeszytu *Wiest. Jewropy* w nr. 315 *Rus. Kurjera.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Skarby w kasach bankowych. — Rozradowany lud tańcujący.— Typy dla przyszłego Prusa. — Poświęcenie kiermaszowe. — Nieprzyjaźń dla kaznodziejów. — Stara historya w nowem wydaniu. — Kobieta jako rzecz bez właściciela. — Poważny proces przed sądem beletrystów. — Obrazy Siemiradzkiego i Matejki. — Słabość geniuszu.

Od chwili, jak dzienniki doniosły, że w kasach towarzystw Ziemskiego i Miejskiego znajduje się 26 milionów depozytów, karnawałująca (a bardzo znaczna!) część Warszawy swobodniej odetchnęła; wywnioskowała bowiem, że czasy się poprawiają. Jaką drogą wniosek ten został wyprowadzony — odgadywać nie będę, gdyż nie posiadam talentu potrzebnego dla nakreślenia praw psychologicznych tego gatunku ludzi. Znam go, widuję w najrozmaitszych odmianach, wiem, że jest najliczniejszym śród ludności warszawskiej, stoją mi nawet przed oczami jego typy, ale czuję, że dla odmalowania tych „głupich po szkodzie,“ tych wiecznie tańcujących i bawiących się, tych społecznie niepoprawnych, tych w jednej komórce serca skraplających łzy, a drugą napełniających szampanem, potrzebny byłby jakiś drugi — Prus, umiejący tak przedstawiać wszystkie zakręty i suply logiki wielko-mieszczańskiej, jak tamten uwydatnia je w chłopskiej. Zdaje się nieprawdopodobnem, a przecież istnieje w Warszawie masa ludzi, którzy sądzą, że zabawa jest jedynie prawidłową postacią życia, że wygrana loteryjna bez względu na to, komu się dostaje, pomnaża dobrobyt narodu, że miliony, spoczywające bezczynnie w bankach, są uśpionymi królewiczami z władzą nadprzyrodzoną. Po tych istotach najcięższe smutki przesuwają się jak lekkie zachmurzenia, nie pozostawiając bruzdy, zadry, żadnego śladu. Ci, chcą się bawić, bawić gdziekolwiek, jakkolwiek i za wszelką cenę: co leży po za granicami tego pragnienia, to jest tylko przyjaznym lub nieprzyjaznym warunkiem. „Chyba niema miasta na świecie — powiada nawet *Kuryer warsz.* — w którem by się znalazło tyle osób gotowych do bezinteresownego poświęcenia swego czasu, jak w Warszawie.“ Dowodem kiermasz, gdzie „wykonawcami wszystkich widowisk są wyłącznie amatorzy i amatorki“; przedstawiają oni „liczbę imponującą, gdyż w podwójnych chórach, pantomimach, żywych obrazach, teatrze, śpiewach solowych itp. bierze udział *kilkaset* osób.“ Kiermasz zaś, łącznie z przygotowaniami, trwa już około trzech tygodni, „większość zaś tych amatorów i amatorek nie ma nawet tej nagrody, aby o nich uczyniono w sprawozdaniach jakąś pochlebną wzmiankę.“ *Kuryer* zapewnia, że skojarzyły się tam już „trzy pary,“ a „może znajdzie się ich więcej.“ No, gdyby kiermasz był istotnie gajem dla łączenia się samotnych słowików, możnaby zrozumieć i usprawiedliwić to „poświęcenie kilkuset osób“ ze swego czasu. Ale jestem pewien, że gdyby na nim nie związała się ani jedna para, poświęcenie byłoby równie wielkiem i licznem, bo nam mniej potrzeba niż *plebsowi* rzymskiemu— wystarczą *circenses*.

Szczerze wyznam, że będąc Noem i ładując arkę na wody potopu, nie wybrałbym dla uratowanie rodu ludzkiego tych zwolenników igrzysk, ale też nawzajem nie pomagaliby mi oni do budowy korabiu. Ci roztańczeni i rozbawieni są może głównymi nieprzyjaciółmi *Prawdy* i wogóle prasy postępowej.

Są wszakże wypadki, w których nie chciałbym być sędzią, bo nie zdołałbym utrzymać szal prawa w należytej równowadze. Duch ludzki ma także punkty swego wrzenia, a wtedy nie może być miarą słuszną. Czytałem i wielu z was zapewne czytało w nowem wydaniu starą opowieść, ogłoszoną w pismach przed kilku dniami. Wątek zwykły, wcale pomysłowością zbrodni nieurozmaicony. Jakaś młoda kobieta usiłowała otruć się zapałkami, gdyż narzeczony, który ją wykradł, shańbił, obrabował i porzucił. Z trzech ogniw tego łańcuszka podłości, środkowe wydaje się najmniejszem— prawda? Obrabował — to przecież nie tyle, co shańbił i porzucił! A jednakże do tego tylko najmniejszego ogniwka nieszczęśliwa może przyczepić swą krzywdę, jeśli chce odważyć dla winowajcy karę. Inne cięższej odpowiedzialności nie wytrzymają. Ach, niewyczerpana nigdy krynico ironii! Przypuśćmy, że ów bohater, będąc w domu panny X., ukradł jej z biurka znaczek kotylionowy; niewątpliwie poszedłby na kilka miesięcy do więzienia za „kradzież z włamaniem.“ Ale gdy jej wydarł cześć, gdy zniesławioną porzucił — takie czyny nie mają swej kategoryi w szemacie przestępstw, znaczą nieco więcej, niż np. udeptanie kobiety i odejście bez przeproszenia. Mówię: nieco więcej“ z pewną obawą, gdyż bardzo łatwo z kodeksem przyzwoitości w ręku mógłby mi ktoś dowieść, że daleko bardziej ubliżającą jest nazwa grubianina, niż uwodziciela.

Na takie dziwne ustosunkowanie reguł moralnych trzeba patrzeć, ażeby uwierzyć, że ono istnieje w naszej wysokiej cywilizacyi. Nosi ona w swem łonie bardzo wiele skamieniałości barbarzyństwa, z których nie najmniejsza uważa kobietę za rzecz (od chwili pełnoletności) bez właściciela. Znajduje się ona w położeniu daleko gorszem, aniżeli przedmioty martwe lub dobytek żywy, mające zawsze swego posiadacza. Jeżeli złamiesz cudzą sochę lub oskubiesz gęś, musisz szkodę wynagrodzić; ale jeśli zhańbisz i porzucisz kobietę dojrzałą, opinia jeszcze cię wynagrodzi sławą „bałamuta.“ Kobieta nieletnia, będąca własnością rodziców, używa przynajmniej praw rzeczy, ale usamowolniona jest często mniej zabezpieczona, niż socha lub gęś. Sadziłbym też, że należy albo uczynić ją, na równi z mężczyzną, człowiekiem pełnoprawnym, albo utrzymać ciągle w czyjemś posiadaniu, ażeby ten ktoś osłaniał ją swoimi przywilejami. Powieściopisarzom i dramaturgom odstąpiliśmy do załatwienia sprawę kobiet uwiedzionych i opuszczonych, jak gdyby to był „węzeł“ czysto-artystyczny. Mnie się zdaje, że kwestya ta powinna stanąć również przed trybunałem moralności społecznej i prawodawstwa. Ale naprzód — bo nad tem sami pracować możemy—moralności. Kochani ludzie, kie-

dy wy też dojdziecie do przekonania, że treścią życia, którą ściśle odmierzać i odważać należy, są nietylko worki ze zbożem, składy towarów, galerye, biblioteki itd. — ale także wesela i smutki, rozkosze i cierpienia jednostek, że postradany rubel mniej boli, niż oszukana ufność? Ktoś sfałszował podpis na wekslu — sądy go pozywają i karzą, znajomi za drzwi wyrzucają. Ale ktoś sfałszował miłość, wyzyskał dobrą wiarę kobiety, pokalał ją dla dogodzenia chwilowemu kaprysowi, potargał jej marzenia, zamroczył przyszłość, naprzód wyssał samolubstwem a potem cisnął jak skórkę zjedzonego owocu lub unurzał w błocie — ten godzien jeszcze naszego szacunku lub pobłażliwości, tego nie wyrzucicie za drzwi, gdy po sromotnem zwycięztwie w progi wasze zawita? Przypatrzcie się tej logice potwornej—wszakże potępiłyby ją pawiany i goryle. My od nich nie pochodzimy? Być może, ale w takim razie od istot jeszcze niższych w rozwoju biologicznym. Jeżeli już chcemy z dumą mówić nietylko o swej godności obecnej, ale rodowodowej, zatrzyjmyż w sobie ślady barbarzyństwa. Inaczej nasze metryki przedhistoryczne nie będą miały w sobie nic dziwnego nawet w księgach spisanych przez Darwina.

Jakże ja jestem nieznośny? Znowu morałem psuję ludziom zabawę. W czasie, kiedy trzeba podśpiewywać i przypatrywać się tańcom ochoczym, ja na salę balową wprowadzam zapłakaną dziewczynę, uwiedzioną może przez jednego z najprzyjemniejszych bałamutów. Aż mnie wstyd tej niezręczności.

Ponieważ niema w Warszawie człowieka ukształconego, któryby nie widział obrazów Matejki i Siemiradzkiego, oraz prywatnie lub publicznie nie złożył swego głosu do urny, więc i ja zapiszę moją kartkę kilkoma słowami. Gomulicki ma zupełną słuszność: utwór Siemiradzkiego — to blady odcisk dawnych pomysłów artysty, utwór Matejki — to wielkie dzieło natchnienia świeżego. Tamten potrzebuje ram sali ratuszowej, wieńców za dawne prace przyznanych, kadzideł prasy — ażeby wzbudzić szczególne zajęcie, ten rozwielmożni się na zwykłej wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Od „Bitwy grunwaldzkiej“ wszakże mistrz krakowski mąci powszechne dla siebie uwielbienie szczególnymi do swych obrazów dodatkami: nad każdym prawie umieszcza jakiegoś delegata świętych. Takie wizye możliwe są nietylko na płótnie, ale i w rzeczywistości. Ale u Matejki są one czemś dosztukowanem na szkodę kompozycyi, jakąś niepotrzebną afektacyą pobożności, propagandą nieartystyczną. Można je zetrzeć i obraz nic nie straci — owszem zyska. W „Bitwie“ wystąpił malutki św. Stanisław, w „Chmielnickim“ stosunkowo większy św. Franciszek, a już w „Joannie“ posłowie niebiescy zabrali tyle miejsca, że aż go zbrakło ziemianom. I daremnem by to było i niesprawiedliwem, gdybyśmy chcieli Matejkę leczyć z bigoteryj; sądzimy wszakże, iż on dla niej nie powinien poświęcać sztuki, skoro może otworzyć jej inne, właściwsze ujście.

Jest przecie jeden wzgląd, który nam wymówkę na ustach wstrzymuje: Matejko daje nam tak wiele ze swego geniuszu, że możemy mu przebaczyć to, co dobywa ze swej słabości.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Obietnice wystawy hygienicznej. — Na jedno nowonarodzone dwoje konających. — Obywatele — hunnowie. — Dwa procesy. — *Gazeta lubelska.*

Czy chcesz, czytelniku, wiedzieć, jak wyglądą to, co mogłoby być twym bliżnim, a nie jest nim tylko przypadkowo? Zgłoś się na plac Ujazdowski w połowie przyszłego maja; zobaczysz tam pierwiastki chemiczne człowieka, spokojnie drzemiące w słoikach, flaszkach itp. Pokaże ci go wystawa hygieniczna w grupie poświęconej —„żywieniu,“ a to dla unaocznienia, że człowiek człowiekiem się żywi.

Będą w tej grupie i ciekawe okazy zwierząt i roślin, używanych jako pokarmy; nietylko na rysunkach i w modelach, ale także w naturze. Może nawet znajdzie się i okaz mamki przeciętnej, którą najpierw nasycił się rozpustnik, później żyły nią fanciarki, akuszerki, rozmaite instytucye stręczeń, a nareszcie pokarm z niej czerpie przyszły obywatel kraju, aby, gdy dorośnie, stał się również łatwo strawnym, jak jego karmicielka.

W grupie „odzieży“ spotykamy tytuł: „kostiumy dawne i nowe.“ Zapowiedź to wielce rozległa i zaciekawiająca. Kostiumy dawne: odkąd licząc? z jak szerokiej przestrzeni na ziemskim globie? Wypadałoby może dać określenie bliższe, iżby na termin oznaczony nie wypróżniły się wszystkie kostiumiernie teatralne i nie wprawiły w kłopot archeologów nawet najpobłażliwszych.

Złośliwość chyba podsunęła umieszczenie szynionów i krynolin w rzędzie szkodliwych artykułów odzieży. Dla naszej łysiejącej społeczności niewieściej szynion jest jedynem okryciem głowy. Bo wszakże strojów zwanych kapeluszami damskimi za „odzież“ poczytywać niepodobna. Krynoliny taką rolę grają pod względem ciepła, jak szyby podwójne, zakładane na zimę.

Najrozleglejsza jest grupa trzecia, dotycząca miast, mieszkań i... skóry ludzkiej, a raczej sposobów jej pielęgnowania. Domy oglądać będziemy na rysunkach i w modelach. Miasta wyłącznie tylko na rysunkach, niestety: najciekawszego widoku wązkich i błotnistych uliczek, obrzeżonych wysokiemi domami, zbiegających ku bagnistym nizinom i zamieszkałych przez ubogą, niechlujną ludność — będziemy pozbawieni zapewne, gdyż dla unaocznienia tych rzeczy musieliby się znaleźć amatorzy, wyrabiający pracowite modele miast z materyałów plastycznych.

Środki służące do oczyszczania miast i mieszkań, do ogrzewania i oświetlania, będą uwzględnione szeroko.

Statystyka ludności z meteorologią i analizami powietrza wypełni piątą grupę.

Pstrokacizna powyższego zgrupowania (w trzeciej grupie kosmetyki obok planów miast, w czwartej ławka szkolna i zdrojowiska lecznicze, w piątej choroby panujące i sposoby robienia spostrzeżeń meteorologicznych) dowodzi, że nasza hygiena w młodzieńczym jest okresie. Niemniej szacunek uczuwa się dla zapału inicyatorów, którzy gorliwie zabrali się do pracy, aby wytworzyć zbiory, mające wypełnić program. Ten bada powietrze z rozmaitych okolic i mieszkań Warszawy, tamten wodę, inny pokarmy główne, ów przyprawy do potraw, ktoś znowu dezynfekcyę itp. Roboty zaś tak są prowadzone, aby mogły później nadać się do utworzenia stałego muzeum hygienicznego. Zapewne prowincya (lekarze, inżenierowie, budowniczowie, przyrodnicy) powołaną będzie również do uczestnictwa w tym ruchu. O tem wszakże milczy dotychczas urzędowy organ wystawy, dwutygodnik *Zdrowie.*

Towarzystwo akcyjne oczyszczania i sprzedaży spirytusu nareszcie istnieć zaczęło. Jeszcze w ostatniej chwili, na posiedzeniu ogólnem akcyonaryuszów we wtorek, brakło podpisów na 19 akcyj, nie mówiąc o podpisanych, lecz nie wpłaconych. Ratując przedsięwzięcie od rozbicia i wydane dotąd 3,000 rs. (na wyjednanie koncesyi, utrzymanie sekretarza czasowego, korespondencye itp.) od straty — zarząd tymczasowy w ostatniej chwili oświadczył, że niesprzedane dotąd akcye bierze między siebie. Hucznymi oklaskami i powołaniem członków zarządu do kierowania nadal sprawami towarzystwa odpowiedzieli akcyonaryusze. Niemniej towarzystwo dotąd wisi w powietrzu, gdyż prócz wpłaconej już połowy prawie kapitału, akcyonaryusze mają do 28 kwietnia r. p. wnieść drugą połowę (po 375 rs. za akcyę); w przeciwnym razie nastąpiłaby likwidacya towarzystwa.

Jednocześnie z zawiązaniem się tego towarzystwa akcyjnego, postanowiły się zlikwidować dwa inne: towarzystwo „Cyklop“ i warszawskie towarzystwo fabryki tkackiej... Gdy umierają ludzie, gdy walą się w gruzy budynki, wnet wspomnienia pośmiertne padają na mogiły i ruiny, oświetlając, niby pochodnie pogrzebowe, cień usuwający się w przeszłość. Milionom idącym w rozsypkę, brakuje nekrologistów i historyografów. Likwidacye wielkich majątków i wielkich przedsiębierstw szarzeją gdzieś w tajemniczej głębi, nieme dla tłumów, pomimo że wraz z niemi rozwiewają się nadzieje setek robotników, oficyalistów, techników, że każdy upadek podobny ciężko waży w ekonomice krajowej. Oko reportera zuchwale sięga do tajemnic rodzinnych, pióro jego nie cofa się przed uskrzydleniem i puszczeniem w świat skandalu osobistego. Lecz w ciężką, zaduszną atmosferę materyalnych niepowodzeń, towarzyszących milionowym kapitałom, zanurzać się reporter nie potrafi skutkiem swego maleńkiego ciężaru gatunkowego, czy — nie śmie, wobec panujących tam mroków; wielkie lekcye ekonomiczne przebrzmiewają — niezrozumiane. Mamy przecież czasopisma, dla których materyał taki byłby zupełnie właściwy... Filarami tych obalonych gmachów przemysłowych byli ludzie, od których plan budowy zależał, lecz podstawę gmachów tworzyło społeczeństwo, jego potrzeby, siły, zasoby. Rozbiór działalności ludzi byłby drażliwy, nieraz może nawet fatalny w następstwach. Lecz rozbiór ogólnych zgubnych warunków handlowych i przemysłowych, przyczyniających się do upadku danego przedsiębierstwa, nie przedstawia tylu kolczatych stron i oprzećby go można bodaj na badaniach przeprowadzonych przez samo przedsiębiorstwo w przeddzień zdecydowania się na likwidacyę.

W mowie pospolitej coraz częściej daje się słyszeć wyraz: dewastacya. Miano to zostało nadane specyalnie pustoszeniu dóbr przez właściciela wobec nieuniknionej sprzedaży przymusowej *Kur. warsz.* donosi, że którys z tutejszych kapitalistów, prawnikiem podszyty, wznowił projekt zarzucony niegdyś, aby utworzyć posady inspektorów dla pilnowania dóbr na sprzedaż wystawionych. Podobną myśl Towarzystwo kredytowe ziemskie podniosło niegdyś i — zarzuciło z powodu kosztów. Nowy projektodawca pragnie rozdzielić koszta między Towarzystwo kredytowe i ogół wierzycieli hypotecznych. Prawdopodobnie jak dziś dewastacye tak i zamierzone inspektoryaty spadłyby na mdłe barki kredytu ziemskiego. Tymczasem praktycznie kwestyę rozwiązał wójt gminy Gosławice, który mając od naczelnika powiatu noworadomskiego polecenie czuwania nad Chrzanowicami, własnością braci Sobelmanów, oddał tych panów pod sąd za zniszczenie majątku, a zarazem ustanowił straż z ośmiu ludzi złożoną, która dzień i noc czuwa, żeby dalszemu pustoszeniu zapobiedz. Majątki, sprzedawane w drodze przymusowej, za bezcen idą w znacznej części z powodu zupełnego i umyślnego upadku, bo ogół pobłażliwie patrzy na jawną grabież. Dziwna rzecz, iż dotychczas, o ile wiem, ani powieść, ani komedya nie wypiętnowały gorącem żelazem obydnych łupieżców, rozwalających nawet piece w swoich mieszkaniach, szpecących futry-

ny, odzierających strzechy, wyrębujących drzewa około domu.

W sprawie przyjmowania praktykantów polaków do fabryk, niektóre łódzkie zakłady już do miejscowej filii Towarzystwa popierania przemysłu i handlu nadesłały odpowiedzi, których brzmienia wszakże nie ogłasza *Dziennik łódzki*, donoszący o fakcie. Z tegoż pisma czerpiemy wiadomość o procesie, wytoczonym p. S. R. przez pomocnika inspektora fabrycznego o zatrzymywanie przy pracy czternastogodzinnej dzieci nieletnich, którym wolno podług przepisów pracować najwyżej 8 godzin dziennie. Sędzia pokoju znalazł oskarżenie uzasadnionem, uwzględnił wszakże okoliczności łagodzące, i skazał p. R. na zapłacenie 100 rs. kary lub w razie niemożności na 20 dni aresztu. Oskarżony założył od tego wyroku apelacyę.

Wyboru między aresztem a karą pieniężną nie pozostawił sąd gminny w Wierzbniku p. F., dyrektorowi zakładów starachowickich, niemcowi, który w jakiejś chwili zdenerwowania obił Ignacego Nowaka, majstra przy piecach i wydalił go ze służby. Po zbadaniu świadków, z których jeden między innemi opowiedział, że podmawiany był do fałszywego zeznania, skazano p. F. na dziesięć dni aresztu. Ukarany jest podobno gorliwym prześladowcą żywiołu krajowego w zarządzanych fabrykach. Tak przynajmniej twierdzi korespondent *Gaz. radomskiej*. A przecież zarząd naczelny zakładów starachowickich i zwierzchnictwo nad panem dyrektorem znajduje się, o ile wiem, w rękach krajowych.

Gazeta lubelska na rok następny zmienia podobno redakcyę. Organ ten, założony przez p. Leona Zaleskiego, znajdował się czas jakiś w dzierżawie u p. W. Dawida. Obecnie podpisuje się pod nim, jako redaktor, p. W. Pstruszeński, który, objąwszy pismo z początkiem bieżącego roku, zrazu żwawo się do roboty zabrał, współpracowników zjednał, ożywił i ubarwił wydawnictwo, niedługo jednak wyczerpał swój zapał tak dalece, że dziś *Gazeta lubelska* z gazet warszawskich przedrukowuje wiadomości o tem, co się w Lublinie dzieje. Wieść niesie, że u steru pisma stanie napowrót założyciel, p. L. Zaleski.

K. Zbrucki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Dla dzieci. I w tym roku dziatwa dostała „na gwiazdkę“ snopek świeżych utworów. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała *Bajeczki prawdziwe*, podług Zuzanny Kornas, opowiadane przez M. J. Zaleską z sześcioma obrazkami. Są to bardzo dowcipnie pomyślane i wdzięcznie wykonane obrazki fantastyczne z życia zwierząt, jak np. Wesele zięby, Pogrzeb szczura, Przygody rodziny myszek itp. W każdą osnowę zręcznie wpleciony morał.

Nakładem tejże firmy wyszła baśń przedhistoryczna: *Król Krak i królewna Wanda*. Znany mit, osnuty na tych postaciach, dostarczył autorowi barwnego i dla młodych umysłów ciekawego materyału. Do książki dodano ilustracye, wykonane fotograficznie z rysunków Cz. Jankowskiego.

Objaśnienia Engelsa (i Marksa) do zapowiedzianego przez nas dzieła Morgana wyszły osobno w przekładzie polskim. Główna ich treść — jak wiadomo czytelnikom — będzie włączoną do naszej książki.

Bibliotekę matematyczną po prof. Fronckiewiczu nabył uczeń jego Aleks. Czajewicz i w połączeniu z własnym księgozbiorem dzieł matematycznych przekazał Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, zastrzegając, aby służyły do użytku publicznego. Przeniesienie biblioteki nastąpi po jej skatalogowaniu.

Zapisy. Na wsparcie dla ociemniałych ofiarowali Karolina i Janusz hr. Roztworowscy 105,000 rs. Złożony w depozycie kasy Tow. kred. ziemskiego fundusz ten w listach 5%, posłuży do udzielania co pół roku 80 niewidomym ubogim po 30 rs.; reszta niewypłacona — będzie dołączona do kapitału dla zwiększenia na przyszłość liczby wsparć. Wykonawcą będzie komitet złożony z przedstawicieli różnych instytucyj.

— Józef Radziszewski, emeryt, zmarły na Pradze d. 7 b. m., zapisał cały swój majątek 14,000 rs., zebrany pracą i oszczędnością, na cele publiczne. Między innemi 4,000 rs. na kasy rzemieślnicze.

— Na utworzenie kasy rzemieślniczej w Opolu, pow. nowoaleksandryjskim, przeznaczył p. Szymon Krzeczkowski po 800 rs. rocznie z majątków zapisanych przezeń tutejszemu Towarzystwu dobroczynności. Według projektu zapisodawcy, kasa wydawałaby pożyczki na 2%, powiększywszy zaś swój majątek, zaczęłaby po 15 latach udzielać zasiłki rzemieślnikom wstępującym w związki małżeńskie, także chorym i egzekwowanym za podatki. Projekt został przedstawiony władzy do zatwierdzenia.

Wystawę robót swoich uczennic, z zakresu krawiectwa, introligatorstwa itp. otworzył zakład rękodzielniczy hr. Zyberk-Platerówny przy ul. Pięknej.

Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego w Lipsku ma być odnowiony staraniem przemysłowców polaków zamieszkałych w tem mieście i w Dreźnie.

Rocznicę trzechsetną śmierci Batorego uczciły nasze ilustracye artykułami i drzeworytami poświęconemi pamięci tego króla.

Reforma uniwersytetu w Dorpacie odłożona została do czasu zebrania bardziej szczegółowych danych o jego wpływie na stosunki miejscowe gubernij nadbałtyckich.

P. Gautsch, minister oświaty w Austryi, zakazał dyrektorom i nauczycielom szkół średnich trzymać stancye uczniowskie, a nadto zamierza obecny ośmioletni kurs tych zakładów rozszerzyć do lat dziewięciu.

Płoczczanin. Różnokolorową rzeszę motylów kalendarzowych powiększył w tych dniach *Płoczczanin* na rok 1887. Mnożenie się wydawnictw na prowincyi zawsze witamy z przyjemnością. *Płoczczanin* tegoroczny postąpił parę kroków naprzód na drodze doskonalenia się, po której w roku zeszłym iść przyobiecał. Działy statystyczny i informacyjny widzimy rozszerzone; pożądanem byłoby tylko, żeby autor „danych statystycznych“ więcej wniosków wyprowadzał z cyfr. Dotąd pozostawia on to tych „wymowie.“ Pomijając beletrystykę, która staranniejszym niż w roku zeszłym doborem się odznacza, wyróżnić należy sumiennie i dowcipnie opracowaną „Kronikę płocką,“ która, nie okrywając płaszczykiem *kłamstw konwencyonalnych* życia miejscowego, i w tym roku wywoła zapewne całą burzę gromów... nieszkodliwych i pocisków naiwnych. W końcu zasługuje na szczególną uwagę ze wszechmiar ciekawy artykuł p. A. Nitkowskiego „O przemyśle rolnym w gubernii płockiej,“ jak również „Krótki pogląd na lasy prywatne w gubernii płockiej“ Fr. Rożyńskiego, „Parę uwag o znaczeniu i budowie piorunochronów“ Jana Jędrzejewicza i „Gdzie się kończy świat zwierzęcy a rozpoczyna roślinny,“ w którym p. J. Gensz nader przystępnie i zrozumiale obznajamia swoich czytelników z protoplazmą darwinowską. P. Maryan Kozarski, kierownik *Płoczczanina*, zapowiada ukazanie się tego wydawnictwa i w roku przyszłym. Życząc mu nadal powodzenia, oświadczamy, że w przyszłorocznym *Płoczczaninie* zadziłbyśmy widzieć nieco wiadomości o przemyśle rolnym u chłopów, którą to gałąź po macoszemu dotąd traktowano.

W. W.

Za spraw kolejowych. *Kraj* donosi, że na zebraniu ogólnem akcyonaryuszów kolei Nadwiślańskiej w Petersburgu, projekt budżetu na rok 1887 odrzucony został przez większość powstałą z połączenia 750 akcyj, należących do Banku rosyjskiego dla handlu zewnętrznego i 570 akcyj ministeryum skarbu, natomiast zażądano zmian i oszczędności w myśl projektu dyrektora rządowego, p. Morduchaj-Bołtowskiego. Naturalnem tego następstwem będzie usunięcie się p. Stanisława Kronenberga od prezesostwa kolei.

Z tegoż pisma czerpiemy wiadomość, iż sfery rządowe postanowiły nie sprzeciwiać się przedłużeniu kolei żelaznej Łódzkiej do Kalisza.

Goniec urzędowy ogłasza przepisy wydane przez ministeryum komunikacyi, wzbraniające palenia tytoniu w bufetach, pokojach dla dam, składach towarowych i w tych wagonach pasażerskich, w których nie będzie wywieszone pozwolenie.

Towary kolonialne dawniej prowadzone przez Hamburg, obecnie coraz większemi partyami przychodzą przez Odessę. Nad taką zmianą w żądaniach kupców tutejszych biadają podobno agenci handlowi pruscy.

Lasy w gub. lubelskiej chętnych nabywców znajdują w agentach niemieckich, którym sprzyja nizki kurs rubla. Donosi o tem miejscowy organ.

Na komorach celnych, leżących na pograniczu z Niemcami, dopuszczeni będą od nowego roku wyłącznie urzędnicy pochodzenia rosyjskiego.

Upadłości dotknęły silnie Mińsk Litewski. Firma Żeldowicz i S-ka zbankrutowała na 1,100,000 rs., Rabinowicz na 300,000 rs., Bernsztein na 150,000 rs.; były i bankructwa drobniejsze.

Hodowca, tygodnik tutejszy, wychodzący pod redakcyą Henryka Kotłubaja, wychodzić będzie pod tytułem *Rolnik i hodowca*.

Zamach. W Mińsku gubernialnym 24-letnia panna, dziedziczka znacznego majątku, której nieżyjący ojciec był człowiekiem powszechnie szanowanym, a matka cierpi obłąkanie od czasu owdowienia — straciwszy majątek na ekscentryczne wydatki, strzeliła z rewolweru do wierzyciela, wystawiającego dobra jej na sprzedaż. Wypadek zdarzył się na kurytarzu sądu okręgowego podczas licytacyi. Strzał chybił, bo ktoś obok stojący trącił ją w łokieć. Chciała jeszcze strzelać, ale odebrano jej broń i aresztowano.

Zmarli. Generał Pittié, sekretarz generalny prezydentury i szef sztabu prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, uczestnik wojen krymskiej, włoskiej i francusko-pruskiej, poeta liryczny, tłomacz Goethego, Heinego i Burnsa.

— Sir Malet, były minister W. Brytanii.

— Minghetti, były minister gabinetów: papieskiego z kierunkiem liberalnym, później sardyńskiego i włoskiego, zdolny finansista.

— W. Kalinka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. J. Podobnych do pracy Oppela książek francuskich sądowej treści — nie znamy. Poprosimy wszakże naszego korespondenta francuskiego, ażeby zapytał na miejscu.

M. Z. stud. w Odessie. Przekład ten wyszedł w r. 1812 z dodatkami; rękopis więc nie ma żadnej wartości.

J. Ch. Należy czytać dzieła powszechnie znane (Mommsena, Macaulaya itp.) lub podręczniki. Logika ta nie jest „za ciężka,“ ale w oryginale lub dobrym przekładzie. Co do książki Liarda, jako krótki podręcznik, jest wyborną.

W. O. L. A. Nie licząc sprawozdań drobnych lub pobieżnych w naszej literaturze, tylko rozprawa Korzona „Buckle, Draper i Kolb“ w *Bibl. warsz.* 1870, III i w odbitce osobnej.

Płocz. Nazwiska przy szaradzie i zagadce postawił Draper pierwsze lepsze, jak u nas mówi się Paweł i Gaweł.

OFIARY.

Na kasę imienia Mianowskiego. Adam Stabrowski z Ługańska rs. 10.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego. X. X. rs. 5.

Do rozporządzenia redakcyi. Bezimiennie rs. 1 kop. 20; U. D. N. rs. 20.

Ogłoszenia.

Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne

jest tygodnikiem literackim, zamieszczającym nowelle, powieści, poezye, dramata, rozprawy estetyczne, życiorysy, sylwetki nowelistów, estetyków, malarzy, rzeźbiarzy, kompozytorów i wirtuozów muzycznych, artystów scenicznych, treści książek ze wszelkich dziedzin ruchu umysłowego, **podaje portrety osobistości współczosnej doby. W dziale nutowym**, dodawanym co 2 tygodnie w objętości 1 i pół do 2 arkuszy, stanowiących z końcem roku zbiór 60 arkuszy nut, wartujących według katalogu rubli 10, podaje: utwory salonowe, koncertowe, pedagogiczne w łatwiejszym i trudniejszym układzie na fortepian, skrzypce, głosy solowe, dueta, chóry, potpourri z oper, operet, wyjątki z oratoryów, symfonie etc. Utwory taneczne (te ostatnie przegląda i wybiera L. Lewandowski); dodatek nutowy wybierany jest starannie przy pomocy artystów muzycznych i profesorów. Część muzyczna pod redakcyą Jana Kleczyńskiego. W tekście pisma przyjmują udział najwybitniejsi pisarze.

Abonujący **Echo** na cały rok 1877 bezpośrednio w Redakcyi, mają prawo wyboru

bezpłatne premium

jednego z trzech poniższych:

1) Wszystkie symfonie i sonaty Bethovena na 2 i 4 ręce w 3 tomach.

2) Album tańców zebrane przez L. Lewandowskiego, a składające się z 12 najnowszych tańców, ozdobione winietą rysunku *Franciszka Żmurki.*

3) Kompletne jubileuszowe wydanie dzieł J. I. Kraszewskiego w 15 tomach, to ostatnie za dopłatą tylko 1 rubla.

Na przesyłkę premij dołączać należy: za Nr 1 i 3 po rs. 1,50, za Nr. 2 kop. 75.

Cena prenumeraty **Echa** łącznie z dodatkami nutowemi wynosi:

	w Warszawie	*na prowincyi*
kwartalnia	Rs. 2	Rs. 2.50
rocznie	„ 8	„ 10.—
z premium dzieł Kraszewskiego	„ 9	„ 12.50
„ Album tańców . .	„ 8	„ 10.75
„ „ Beethovena .	„ 8	„ 11.50

Adres Redakcyi: Senatorska 26, Warszawa.

BIBLIJOTEKI MATEMATYCZNO-FIZYCZNEJ, wydawanej przez *M. A. Baranieckiego* i *A. Czajewicza* z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego wyszły następujące dzieła:

W Seryi I. **Początki arytmetyki** *M. Berkmana*, kop. 65; **Wiadomości początkowe z fizyki** *S. Kramsztyka*, dwie części, wydanie drugie kop. 40 i kop. 65; **Wiadomości z geografii fizycznej** *A. W. Witkowskiego* kop. 45.

W Seryi III. **Arytmetyka,** *M. A. Baranieckiego* rs. 1 kop. 70; **Przecięcia stożkowe** *M. A. Baranieckiego*, kop. 85. **Kosmografia** *J. Jędrzejewicza* rs. 3 kop. 80.

W Seryi IV. **Równania liczebne** *J. Sochockiego*, rs. 2.; **Geometrya analityczna** *W. Zajączkowskiego*, rs. 3.

Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Na Gwiazdkę!

„ŚWIATEŁKO"

KSIĄŻKA DLA DZIECI

napisana zbiorowo przez

Grono Autorów Polskich

najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście. **Cena rs. 1 kop. 80.**

SZKICE i OBRAZKI

Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) tomów **cztery** z portretem autora.
Cena rs. 5.
W ozdobnej oprawie: **rs. 6 k. 20.**

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Smoleński Władysław. Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Zarząd Wystawy hygienicznej w Warszawie, podaje do wiadomości, że deklaracye osób pragnących przyjąć udział w Wystawie, przyjmują się codziennie od godz. 10 do 3 i od 5 do 7 w biurze wystawy w gmachu Magistratu.

Regulamin, program i blankiety na deklaracye będą wysyłane na żądanie.

Student uniwersytetu

poszukuje korepetycyj, lub innego odpowiedniego zajęcia. Może również udzielać początków niemieckiego i francuskiego. Oferty pod literami **W. W.** składać można w redakcyi **Prawdy.**

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50.**

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Ogłoszenie przedpłaty na

„KURYER CODZIENNY"

PISMO WYCHODZĄCE CODZIENNIE Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA, WIELKIEJ NOCY I ZIELONYCH ŚWIĄT,

Z A Ł O Ż O N E w r o k u 1864.

„KURYER" obejmuje: Wiadomości urzędowe. Kronikę wiadomości miejscowych, prowincyonalnych, z Cesarstwa i zagranicy. Powieści, opowiadania i poezye. Życiorysy ludzi zasłużonych. Artykuły ekonomiczne, przyrodnicze, rolnicze, oraz dotyczące handlu i przemysłu. Sprawozdania i wiadomości z literatury i sztuki. Przeglądy polityczne i telegramy. Felieton. Kronikę sądową. Korespondencye z kraju i zagranicy. Wiadomości kościelne, giełdowe, targowe itp. W dodatku w formacie książkowym wychodzą:

POWIEŚCI NAJCELNIEJSZYCH AUTORÓW,

rocznie przeszło sześćdziesiąt arkuszy druku, czyli około sześciu tomów.

„KURYER" wychodzić będzie w roku przyszłym pod dotychczasowymi warunkami:

W miejscu:		**z przesyłką pocztową:**	
Miesięcznie . .	rs. — kop. 50	Miesięcznie . .	rs. — kop. 75
Kwartalnie . .	„ 1 „ 50	Kwartalnie . .	„ 2 „ 25
Rocznie . . .	„ 6 „ —	Rocznie . . .	„ 9 „ —

Za odnoszenie do domu dopłaca się 5 k. miesięcznie.

WYŁĄCZNIE TYLKO dla abonentów „KURYERA CODZIENNEGO" przysługuje prawo nabywania po cenie bezprzykładnie taniej, za tom **w miejscu 60** k., z przesyłką **pocztową 85** k., lub w zeszytach w miejscu po k. **10**, z przesyłką pocztową po k. **15**.

Encyklopedyi powszechnej tomów 13-cie,

MIESIĘCZNIE TYLKO TOM JEDEN.

Oraz znakomite dzieło BALIŃSKIEGO i LIPIŃSKIEGO, pomnożone i uzupełnione opisem Szlązka, przez F. K. MARTYNOWSKIEGO p. t.:

STAROŻYTNA POLSKA.

Zeszyt w miejscu **50** k., z przesyłką pocztą **65** k. — Dotąd wyszło zeszytów 16.

Adres „Kuryera Codziennego": KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 66.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna  Gwarancya długoletnia

Telegramy: Ritter Warszawa.

„EXSICCATOR"

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia,** niszczy **grzybek drzewny,** osusza **wilgoć** w starych domach i zabezpiecza **nowe. Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i **tańszy** od tejże o 50%

Inżynier **RITTER,** Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Декабря 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.